



ROK LVIII

NR 36

PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIEK

WARSZAWA, 5 WRZEŚNIA 1925 ROKU.

TREŚĆ NUMERU: Złoty polski—*M. B-Ł.* W sprawie policji kobiecej. Jeszcze o kobiecości—*Marja Kuncewiczowa.* O narzeczeństwie moskiewskim Mickiewicza—*R. M. Blüth* W krainie wrzosów—*R. Fleszarowa.* Świat kobiecy (c. d.)—*Marja Grossek-Korycko.* Wiersze—*Anna Słonczyńska.* Z powodu dolarów—*Joseph Conrad (Józef Korzeniowski)* tłumaczyła *Teresa Tatarkiewiczowa.* Zatrzymany zegar (powieść) c. d.—*Wanda Młtaszewska.* Piękna Pamela (c. d.)—*K. Bielańska.* Zagadnienia psychiki u zwierząt—*Janina Maszewska Knappe.* Kobieta w świetle i w domu—*Z. B.* Korespondencja z Orawy—*Z. O.* Dział praktyczny: Mody i roboty. Jak ubierać torty? Żaloba—*W. D.* Taniec wśród mieczów—*Spero.* Z dziedziny kosmetyki—*Dr. J. Świtalska.* Ogrody strojne—*Stan. Schönfeld.* Powrót z wakacji—*J. S.* Grzyby—*Pani Elżbieta.* Przepisy gospodarskie—*Pani Elżbieta.* Korespondencje działu praktycznego. Dodatek powieściowy „Naja Tripudians“ (c. d.)—*Annie Vivanti* (przeł. z włoskiego *Tadeusz Jakubowicz*) ARKUSZ WZORÓW

ZŁOTY POLSKI



Wjemy w czasach, kiedy sprawy gospodarcze rozstrzygają o najważniejszych posunięciach politycznych każdego państwa. Czy weźmiemy Wielką Wojnę, czy obecną politykę zagraniczną Sowietów, czy zajrzemy za kulisami porozumień i powikłań między państwami Europy Zachodniej, czy będziemy badali t. zw. imperjalizm brytyjski, czy wnikiemy w cele polityki kolonizacyjnej krajów Starego Świata, czy zechcemy zastanowić się nad konfliktem japońsko-amerykańskim — wszędzie u podstaw wszystkich prądów politycznych i wszystkich poczynań mężów stanu znajdziemy jedną troskę — troskę o rozwój gospodarczy.

Niemasz dziś państwa, któreby miało jakakolwiek pretensję zaliczenia się do rodziny państw cywilizowanych a poprzestawało w swym rozwoju gospodarczym na samem rolnictwie. Na zawsze minęły czasy, kiedy Polska mogła być uważana za kraj bogaty dlatego, że pszenica jej żywiła ludy sąsiednie. Przeciwnie, najbogatsze i najlepiej zagospodarowane kraje nie wystarczają sobie własnem zbożem i wogóle rodzimemi artykułami spożywczymi. Wielk Brytania, Niemcy, Belgja sprowadzają je z innych krajów, wywożąc wzamian produkty swego przemysłu. Nawet Japonja, Indje, kraje Ameryki Południowej, które przywykliśmy uważać za półbarbarzyńskie, podążają za wzorami Europy i usiłują dopędzić ją na drodze rozwoju przemysłu.

Rozumiała ten prąd Rosja carska i rozumie go Rosja Sowiecka: pierwsza drogą ochrony celnej, druga zarządzeniami monopolowego handlu państwowego starają się pobudzić przemysł krajowy.

Jeśli Polska ma pójść dalej po tej linii, jaką, wbrew najczarniejszym przepowiadaniom swoich wrogów i najcięższym warunkom swego zmartwychwstania, posuwała się od 1919 roku, jeśli ma zdobyć mocarstwowe stanowisko, od którego dziś już o krok zaledwie jest oddalona, to uczynić to może jedynie i wyłącznie przez pracę twórczą, przez okrzepnięcie gospodarcze, odpowiednie do jej przestrzeni, ludności i stanowiska politycznego na rubieży Wschodu i Zachodu.

Albo będziemy mieli wielki kwitnący przemysł, który da pracę krociom tysięcy naszych robotników, techników, inżynierów i chemików, albo spadniemy do rzędu chłopskich państw bałkańskich, zawsze zależnych pod względem finansowym i przemysłowym. Możemy i musimy wywozić: zboże, węgiel, cukier i drzewo, ale moglibyśmy również wywozić, prócz surowców i produktów rolnych: wyroby tkackie, narzędzia, wyroby drzewne, chemikalja — cały szereg fabrykatów, dla których nie brak nam ani podstaw naturalnych, ani umiejętności. Przede wszystkim zaś musimy temu przemysłowi rodzimego dać najpewniejszy rynek zbytu — wewnętrzny.

Tymczasem na długo przedtem, zanim nazwano Polskę „pawiem i papugą narodów,” zakorzeniło się w niej uprzedzenie do wyrobów polskich i uwiel

bienie dla wszystkiego, co pochodzi z zagranicy. Wystarczy, by kupiec okazał plombę granicy celnej lub szepnął: „choć to bez plomby, ale daję słowo honoru, to towar niemiecki albo austriacki — a cóż dopiero, jeżeli francuski!” — zapłacimy żadaną cenę i wyjdziemy niezmiernie z kupna zadowoleni. „Krajowe — i takie drogie! wcale nie tańsze od zagranicznego!” mówimy, gdy się nie powołują na te znaki i zaklęcia magiczne. Te uprzedzenia do wyrobów krajowych, obok innych przyczyn, zrujnowały zaczątki rzemiosł polskich, nie dopuściły do utworzenia się rdzenia polskiego stanu mieszczańskiego, sprowadziły upadek i zżyczenie naszych miast, cofnęły Polskę z drogi, którą poszły wszystkie państwa Zachodu. I przetrwawszy przez wieki, przez okres upadku politycznego, który — pamiętajmy o tem! — był poprzedzony przez upadek gospodarczy, uprzedzenia te mogą dziś zgubić nie tylko przemysł Polski zmartwychwstałej, ale mogą podważyć znowu jej byt polityczny.

Dwa są rodzaje zakupów zagranicą, jak wogóle wszelkich wydatków: produkcyjne, przy których poniesiony wydatek zwraca się z zyskiem, i nieprodukcyjne, wówczas gdy wartość nabyta idzie na spożycie, na zużycie bez odnowienia się. Fabrykant, kupując zagranicą maszynę, której w kraju nie może nabyć, lub surowiec, którego kraj nie produkuje (n. p. bawełnę), czyni wydatek produkcyjny: wartość maszyny i bawełny wejdzie w wytworzoną w jego fabryce tkaninę, podniesie się o włożoną w nią pracę prządki, tkacza, farbiarza, wykończarki i wszystkich kierowniczych sił technicznych i pojawi się znowu na rynku. Ktoś, kto nabędzie tę łódzką lub bielską tkaninę, zużyje ją, zniszczy bezpowrotnie, ale w wydatku swoim dał zarobek polskiemu robotnikowi i zbyt polskiemu przedsiębiorcy. Ale kto, zamiast łódzkiego, nabył batyst francuski, dał zarobek w Polsce tylko wyłącznie kupcowi — pośrednikowi. Ów pośrednik, jeżeli jest uczciwy, zarabia tak samo, zbywając miejscowe wyroby. Natomiast

dla poczynienia zakupów zagranicznych musi kupić nabyć za złote polskie franki, marki czy funty szterlingi i pozostawić je zagranicą.

Gdybyśmy w tym samym czasie wywieźli odpowiednią wartość z naszego kraju, stosunek przywozu do wywozu nie narażałby na szwank interesów państwa. Działyby się krzywda tylko tym gałęziom produkcji, które nie byłyby w stanie konkurować z zagranicą, ale bilans handlowy — ogólny stosunek przywozu i wywozu — pozostawałby równoważony. Jeżeli jednak pęd do nabycia towarów zagranicznych jest powszechny, jeżeli sprowadza się nie tylko produkcyjne surowce i narzędzia, ale przedmioty codziennego spożycia i zbytku, a nasze towary nie znajdują zbytu wewnątrz kraju, wówczas dzieje się krzywda podwójna. Traci przemysł, nie mając gdzie zbywać, a z nim tracą ci wszyscy, którzy żyją z przemysłu — od fabrykanta, robotnika i technika począwszy, aż do tych wszystkich, u których ze swej strony zaopatrują się fabrykant, robotnik i technik, a więc, od rzeźnika, gdzie nabywają mięso na obiad, aż do teatru, w którym bywają często dla rozrywki, i aż do nauczyciela, u którego uczą się ich dzieci. Jednocześnie zaś traci państwo, z którego odbywa się ciągły odpływ pieniędzy i weksli obcych.

Te zagraniczne weksle i pieniądze powinny zawsze w pewnej ilości spoczywać w Banku Polskim jako rezerwa, która, obok złota, gwarantuje wartość znajdujących się w obiegu pieniędzy polskich. Dość — by ta rezerwa się zmniejszyła, dość — by przez szereg miesięcy nasz bilans handlowy wykazywał przewyżkę przywozu nad wywozem, już oto sąsiedzi, żądni upieczenia swych celów politycznych, zaczną rozdmuchiwać te fakty i cyfry, już oto giełdy zagraniczne będą nabywały złote nie po ich kursie właściwym, lecz po tańszym.

Takie były źródła załamania się kursu złotego polskiego.

M. B-Ł

W SPRAWIE POLICJI KOBIECEJ

Powinniśmy być niewątpliwie wdzięczni p. Macce za ujęcie kwestji policji kobiecej w sposób tak głęboki i entuzjastyczny, jak uczynił to w poprzednim numerze „Bluszczu“.

A jednak sprawa sama budzi wiele poważnych wątpliwości: nie fakt zorganizowania policji kobiecej, ale sposób jej zastosowania i wykorzystania tego cennego narzędzia w przyszłości,

Wyszkolono dotąd dwadzieścia kilka policjantek, dając im dużo wiadomości teoretycznych, bardzo cennych niewątpliwie, ale bardzo mało wskazówek praktycznych, dotyczących ich głównego zadania. Tak wyszkolony zastęp przydzielono do t. zw. „Urzędu sanitarno-obyczajowego“, każąc mu pełnić narazie służbę próbną niejako, przeprowadzając przez coś w rodzaju praktyki policyjnej, zaznaja-

mając z terenem i przedmiotem przyszłej działalności.

Wszystko to wydaje się bardzo racjonalnem i trafnem teoretycznie. W praktyce jednak pociągnęło to za sobą błędy, które zwichnąć mogą wszystkie na policji kobiecej budowane nadzieje.

Urząd sanitarno-obyczajowy ma dla zadanie przeprowadzać kontrolę ekarską na kobietami, oddającymi się nierządowi, wciągać do list

swoich wymykające się z pod tej kontroli i t. d. Poza to należy doń wykrywanie tajnych domów publicznych, domów schadzek, pociąganie do odpowiedzialności osób, zajmujących się stręczycielstwem, handlem kobietami i dziećmi i t. d.

Do wypełniania tych czynności posiada on cały aparat, złożony z wywiadowców mężczyzn.

Nie dotykając pierwszej części zadania Urzędu, które związane jest ze sporną dotąd kwestją reglamentacji, stwierdzić trzeba, że co się tyczy walki z nierządem w najszerszym znaczeniu tego wyrazu, aparat ten nie spełniał w dostatecznej mierze swego zadania.

Mimo ustawowego zakazu, domy publiczne, domy schadzek i t. d. istnieją w Warszawie na wielką skalę, a istnieją prawie jawnie. Często zdarza się, że mieszkańcy danej kamienicy zabiegać muszą u władz wyższych i najwyższych o zamknięcie szkodliwej instytucji. Akcja taka bywa połączona zazwyczaj z wielkimi trudnościami.

Typowe postacie stręczycielek i różnych innych szumowin, mających taki lub inny kontakt ze sprawą nierządu, bywają tak znane w danej dzielnicy miasta, że każda służąca wskazać potrafi niecną faktorę, polującą n. p. na dworcach na przyjezdne za zarobkiem młode dziewczęta.

Mimo to, osoba taka grasuje bezkarnie, a jeżeli się ją nawet zaaresztuje, to po krótkim pobycie pod kluczem zjawia się znów na miejscu swej poprzedniej „pracy“ i nie zniechęcona przeszkodami, uprawia dalej swój nietyle zaszczytny, ile korzystny proceder.

Wszystko to dowodzi, że czynniki, powołane do śledzenia i pociągania do odpowiedzialności osób, ciągnących zyski z nierządu, nie wywiązywały się dość skutecznie ze swego zadania. Z tego niezaprzeczonego zresztą faktu zrodziła się też myśl powołania do życia policji kobiecej.

I oto ten pierwszy oddział policjantek, złożony przeważnie z jednostek ideowych, pomieszano niejako mechanicznie i równouprawniono z dotychczasowym aparatem wywiadowczym męskim, działającym przy Urzędzie sanitarno-obyczajowym.

Nie wchodząc w bliższe szczegóły następstw, jakie fakt powyższy pociągnąć za sobą może i musi, pragnęlibyśmy zwrócić uwagę czynników miarodajnych, a przedewszystkiem Komitetu walki z handlem kobietami i dziećmi, na konieczność wydzielenia policji kobiecej z Urzędu sanitarno-obyczajowego, obdarzenia jej pewną samodzielnością (oczywiście w ramach organizacji policji państwowej) i odpowiedzialnością.

Jeżeli oddział ten przynieść ma społeczeństwu prawdziwe pożytki, na czele jego stanąć musi osoba bardzo energiczna, bardzo wierząca w powodzenie swej misji, bardzo gorąco oddana swojej idei, doskonale w zawodzie śledczym wyszkolona.

Nie przesądzam, czy osoba taka znajduje się w obecnym składzie policji kobiecej. Przypuszczam raczej, że wyszkolonej pod względem śledczym niema tam ani jednej. Trzeba więc albo ściągnąć ją z zewnątrz, albo, jeżeli takowej w całej Polsce znaleźć dziś nie można, trzeba oddać oddział pod komendę tak wyjątkowego mężczyzny, któryby uznawał, że to, co „istnieje od lat tysięcy“, może jednak i powinno przestać istnieć, że to, co „już było w Fenicji i Babilonji“, w nowej Polsce jednak tępić trzeba.

Należy postawić na czele tego oddziału jednostkę, któraby istotną, energiczną i stanowczą walkę wypowiedziała najpotworniejszej z klęsk społecznych.

Byłoby rzeczą pożądaną, by zdolniejsze i bardziej ideowe z pośród policjantek poddano specjalnemu szkoleniu, wysłano zagranicę, przygotowując je na komendantki przy-

szłych oddziałów policji kobiecej, które organizować trzeba w najbliższej przyszłości.

Inna jeszcze strona omawianej sprawy budzi poważną troskę. Wynagrodzenie policjantek jest bardzo niskie, a służba ciężka (przeważnie nocna) i niebezpieczna.

Kobieta z inteligencji, zarabiająca 140 zł. miesięcznie, daje dowód niezwykłej ideowości, poprzestając na tak marnem wynagrodzeniu za służbę, która kosztuje tyle trudu, tyle niesmaku, tyle bolesnych i ciężkich wrażeń.

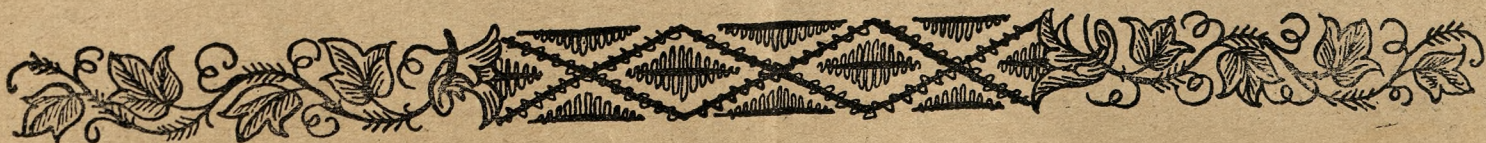
Przy największej jednak ideowości utrzymanie się z tak małej pensji, o ile ktoś innych źródeł dochodów nie posiada, jest rzeczą prawie niemożliwą.

Obawiać się więc trzeba, że żywiły najinteligentniejsze, dające pod każdym względem największe gwarancje, odejdą zniechęcone.

Wprawdzie, jak słyhać, pensje policji wogóle ulec mają podwyższeniu—będą to jednak prawdopodobnie podwyżki nieznaczne, nie rozwiązujące zagadnienia: jak utrzymać się, chcąc pozostać bezwzględnie i skrupulatnie uczciwym. Czy wobec tego nie byłoby rzeczą możliwą, aby instytucje społeczne, oczekujące tak wiele po policji kobiecej, postarały się o ułatwienie bytu policjantek — w tej czy innej formie?

Nasuwa się tu wreszcie pytanie: jak rozgranicyć kompetencje Urzędu sanitarno-obyczajowego i policji kobiecej?

Wydaje mi się to rzeczą nietrudną. Niechaj Urząd pozostanie nadal urzędem sanitarnym, urzędem walki z chorobami wenerycznymi. Walkę zaś z tajną organizacją nierządu, z handlem kobietami i dziećmi, propagandę czystości obyczajów, oddziaływanie moralne na jednostki zdeprawowane lub będące na drodze do deprawacji—pozostawić należy policji kobiecej. Jest to właściwe jej zadanie.



JESZCZE „O KOBIECOŚCI”

(Z powodu artykułu p. Konopackiego w № 31 „Bluszczu“)

Pan Konopacki w N-rze 31 ym „Bluszczu,” określiwszy kobiecość jako intuicję i wdzięk, martwi się jej zanikiem u współczesnej pani; przykład zamierania „das evig Weiblichen” widzi w sportowo-egzotycznej modzie i w prądzie emancypacyjnym. Ponieważ sprawa, poruszona w artykule: „Kształcenie Kobiecości,” moim oczom przedstawia się do tego stopnia odmiennie, że widzę ją jakgdyby na innym brzegu życia, chcę w toczącej się na łamach „Bluszczu” dyskusji zabrać głos.

O definicję tego, co jest esencją kobiecości, spierać się nie będę; określenie „intuicja i wdzięk” odpowiada zupełnie memu przekonaniu. Rzeczywiście, poza różnicą płci, odmienność człowieka mężczyzny i człowieka kobiety polega chyba na tej błyskawicznej u kobiet orientacji uczuciowej, zwanej intuicją, oraz na polocie wyobraźni, z którego płynie piękno gestu i słowa—a więc wdzięk. Od początku wieków to, co mężczyzna wypowiadał, kobieta przedtem już śpiewała, a każdy czyn męski w interpretacji kobiecej stawał się tańcem. Tak było zawsze... i, podług mnie, zupełnie tak samo jest obecnie (w tem miejscu zatem rozchodzimy się z p. Konopackim w dwie strony przeciwne).

Dziś, jak wczoraj i jak dwa wieki temu, kobieta, nieodłączna towarzyska mężczyzny, współdziałając z nim, kroki swoje zwraca w ślad za chybłą strzałą własnej intuicji. Dzięki temu nieomylnemu kompasowi, utrzymuje się w nastroju swojej epoki, ilustruje manjerą psychiczną i towarzyską, suknią, uśmiechem — potrzebę i tęsknotę własnego środowiska; jak zwykle, uskrzydla stopę mężczyzny.

Czy robi to z wdziękiem? Tu dyskusja staje się niemożliwa w imię zasady: „les goûts et les couleurs on ne discute pas.” Wolno jedynie stwierdzić, że niewieści instynkt podobania się tak jest niemylny, że z pewnością nie trzymałyby kobiet ani przez chwilę w więzach stylu, przeciwnego smakowi współczesnych. A jakąż może być inna miara piękna poza zachwytem ludzi?

Kobieta powojenna zachwyca powojennego mężczyznę. Wszak ci dwoje są stworzeni dla siebie, więc sąd barocca czy romantyzmu nie może dla nich stanowić kryterjum.

„Ci dwoje.” Mam wrażenie, że w tych słowach, nie uwzględnionych

przez p. Konopackiego, leży rozwiązanie problemu kobiecości. Kobiety nie można traktować jak Kantowską „Ding an sich” ani też jako posłankę niebios. Dzięki sile fatalnej przeznaczeń, jest „połowa” rodzaju ludzkiego, nieodłączna od drugiej połowy. Stwierdza to zarówno legenda, jak rzeczywistość. I—mimo swój doskonalszy aparat zmysłowy oraz nieco odrębne nastawienie psychiczne—kobieta żyje na tym samym łądzie i w tej samej dobie, co mężczyzna. Nie przynosi na strawę jego czynom, jak duch, „aportów” z za świata; stąpając po tej samej drodze, współtworzy... po swojemu.

Dlatego kobieta obecnie nie może być sympatyczna. Nie może, bo świat dzisiejszy nie jest sympatyczny, i bardzo antypatyczny jest dzisiaj mężczyzna. Wojna, po raz tysięczny w ciągu wieków, okryła ludzką ranami, przez które uszła prawie cała krew życia. Serca zostały blade, a mięśnie uwiędły. Wszystko, co było warem w żyłach, djamentem w słowie, pióropuszem u czoła i sztyletem w garści, wszystko to zetlało niemal do cna na potwornym stosie ofiary. Heroizm zgrał się na śmierć jak uczeń szkoły dramatycznej, patriotyzmy wielkich nacji europejskich wytoczyły ostatnią czerwoną kroplę z żył, poezja spłonęła razem z dobytkiem ubogich i musi teraz od nowa dźwigać swój dom na nieznanym gruncie, bogactwo przeciekło w inne ręce, zdrowie zeszło na psy, a myśl stała się leniwa niby łąka z mokremi skrzydłami. Świat jest nieludzko zmęczony; i podobnie jak ozdrowieniec po ciężkim zatruciu, odwraca oczy z niesmakiem od wszystkiego, co było. Pragnie zapomnieć. Chce narkotyku, nirwany, czarnej magji, Tutankhamena, jazz-bandu, idjotyzmu—wszystkiego, byle nie powtórzenia. To nie jest zresztą świat; to widmo dni minionych i nieśmiała zorza przyszłości. „Entre chien et loup...” o świtanie.

W takiej dobie jakiegoż stylu ma się trzymać „kobiecość”? Oczywiście, stylem tym będzie sport i egzotyzm. Sport, bo trzeba za wszelką cenę ratować mięśnie, i egzotyzm, bo nerwy aż krzyczą o odmianę. Mężczyzna, tak samo usposobiony, reaguje nieco inaczej. On, osobnik o żarłocznej szczęce

i realistycznym mózgu, kopie piłkę do utraty przytomności, jak wczoraj kopał wroga; kradnie równie łatwo, jak wczoraj zdobywał, i wśród niechlujstwa moralnego bez tchu ciągle tropi sensację. W ten sposób odpoczywa. Cóż robi kobieta? Stylizuje. Te same atencje, bezwładny, chucie i porywy przetafia na sztukę stosowaną. Jest mniej bezpośrednia i bardziej wybredna, więc stać ją na „manjerę.” („Il y a la maniere...”) Stąd moda sportowa u pań, choć sportu, bez specjalnej mody, znacznie więcej u panów. Stąd manja nikotyny, perwersja kształtu, afrykańska poza, choć hysterji znacznie więcej u mężczyzn. Zatem intuicja, jak zwykle, górą.

A wdzięk? Raz jeszcze: „de gustibus non est...” W każdym razie, jeśli ten wdzięk istnieje, nie jest „łatwy, ani mały.” Łatwiej bo chyba być Europejce wdzięczną pannenką z okienka, niż wdzięcznym fetyszem plemienia Siuksów.

Równouprawnienie... Czy można o ruchu, zaledwie wykultym, wydawać sądy? Czy wpłynie na jego rozwój sympatja nasza lub niechęć? Konieczność społeczna, i tyle. (Rzeź, niedawno ukończona, przebrała widocznie miarę sił męskich; trzeba w życie publiczne wciągnąć kobiety). Nie podobało się w swoim czasie szlachcie uwłaszczenie chłopów, nie podobało się ortodoksom katolickim „zdetronizowanie” papieża, ani nie przypadł do gustu monarchistom rok 1789-ty. Nie podoba się teraz emancypacja kobiet tym, co trwają pod czarem dni ubiegłych. Ośmieszenie działaczki feministycznej nie przedstawia trudności, ale też w żadnej epoce działaczki i działacze nie reprezentowali tylu powabów życia. Łatwiej bowiem przekreślić własną egzystencję dla służby społecznej jednostce, którą ma mało szans na indywidualne „szczęście,” niż pięknej pani, która dzień każdy prosi, żeby poprostu raczyła żyć. Jeżeli istota, bogato uposażona przez przyrodę i społeczeństwo, oddaje siebie jakiejś sprawie ogólnej, ewenement taki prawie zawsze kończy się kanonizacją, a zatem należy do rzadkości.

Kobieta równouprawniona do tej chwili jest raczej pojęciem, niż skryzalizowanym typem: na drodze dziejów stawia pierwsze kroki; za lat sto będziemy już pewnie mogli stwierdzić, czy możność

dysponowania własnym majątkiem, czy praca zawodowa, uczyniły z niej osobistość, pozbawioną uroku. Myślę jednak, że kobiecość ostoja się tak długo, jak istnieć będzie męskość. W obecnym momencie męskość, po jej monstualnym wybuchu, wojnie światowej, jest w zaniku; kobiecość również przyćmiła swoje niebieskie światło i zabarwia się raczej na czerwono, po męsku. Zawsze konsonans „tych dwojga,” podkreślony przez „jej” intuicję.

Spojrzymy wstecz. Pan Kono-packi mówi: średniowiecze—szlachetna dama, donzella, witraż, sielanka, modlitwa. Dobrze. A tło? Przedewszystkiem wojny święte, ognista gloria krzyża, barbarzyński krwawy idealizm; przytem na niebie historii wschodząca gwiazda wielkich panów. Na tle z proporców, znaczonych hostją i godłami rodzin, „on” sunie w chrześcicie zbroi z oczyma, olśnionemi wizją Chrystusowego grobu i własnej świetności. „Ona” w średniowieczu musiała być damą rycerza,

więc albo „Yseult aux blanches mains,” albo błogosławiona Kinga.

Renesans. Kobieta ma rude włosy, ciało królewskie i serce pante-ry. Tak. Ale ojcem Lukrecji jest papież, a bratem—najbardziej szatański z kondotjerów. Są piękni wszyscy, mocni, zostawiają po sobie dzieło tytanów i trujący odór piekła. Są warci siebie—Borgiowie i Medyceuszki.

Później: upudrowany ancien régime. Panie—to markizy. Ich wielbiciel — to wicehrabiowie. Kwiaty złoczonego dworu, paziowie i tanczniczki królów. Czyż M-me du Barry płaszały tak wdzięcznie na woskowanej posadzce, gdyby w gawocie nie podawał jej dłoni pieściwej i pełnej brylantów kochanek królewski?

Wreszcie przesilił się wykwent, markizy z pałaców wyfrunęły na trawniki i jeły się pasania baranków; wicehrabiowie porwali się wtedy od różanych biurka, przy których pisali epigramy na „précieuses ridicules” i co rychlej przywdziali stroje Filonów. Berżeretka

skończyła się na szafocie. I krew Marji Antoniny użyźniła ziemię francuską narówni z krwią kawalera de Grioux.

Cesarstwo. Pseudoklasycyzm. Romantyzm.

Historyk kultury notuje i klasyfikuje zawzięcie... A sedno sprawy zawsze to samo: „ich dwoje.”

Cokolwiek się stało lub stanie—ich jest dziełem wspólnym, winą i zasługą. Myślą razem: „on” syllogizmem — „ona” jasnowidzeniem; czynią razem: „on” ramieniem — „ona” dłonią. I na progu każdej epoki czeka ich sędzia nieprzychylny, okryty żałobą po zmarłym królu.

Teraz oboje odpoczywają. Są słabi i kapryśni jak dzieci. Jak dzieci nie wiedzą, co złe, co dobre; lubią tylko rzeczy nowe i bardzo jaskrawe. Jedyna rada — nie gniewać się i czekać, aż podrosną — aż znowu dojrzeje męskość i zakwitnie kobiecość, a może... aż przetoczy się świat na drugą stronę — za ledwie przeczną.

Marja Kuncewiczowa

O NARZECZEŃSTWIE MOSKIEWSKIEM MICKIEWICZA

3

— Jestem tedy zdecydowany—pisze—jeśli malarka choruje lub żyć bez mnie nie może, krótko i wężłowato wziąć ją (ze sobą zagranicę).— Nie ulega wątpliwości, że panna Karolina, gdy jej przedstawiono decyzję Mickiewicza, decyzję, powstała pod naciskiem jej choroby, zrelektowała się. Przestała nalegać. Nie chciała kielznać „Farysa”.

I ślicznie się kończy to narzeczeństwo poety z poetką. Mickiewicz przyjeżdża do Moskwy. O mało nie ryzykuje utraty paszportu (policja go śledzi i chce mu paszport odbierać). Przyjeżdża wyłącznie poto, by zakończyć po męsku, ale zarazem najsubtelniej, stosunek z Jaenischówną. Rozstają się w zgodzie. Panna Karolina pisze śliczny list pożegnalny, wystawia, jak słusznie określa Pietrak, jeszcze jeden „paszport na wyjazd”. A on pozostawia na pamiątkę wiersz w imienniku. Po stronie Mickiewicza na tem sprawa moskiewskiego narzeczeństwa się kończy. Nie kończy się ona po drugiej stronie.

I chyba potrosze obowiązkiem naszym jest poznanie dalszych losów, bądź co bądź, porzuconej przez Mickiewicza kobiety.

II

Przedewszystkiem należałoby ustalić fakty późniejszego życia Jaenischówny. Źródła polskie poprzedzały na dość pobieżnym opisie samego stosunku Jaenischówny z Mickiewiczem Z późniejszych spraw znamy tylko trochę dziwne i na pierwszy rzut oka niepoważnie brzmiące oświadczenie Pawłowej, staruszki osiemdziesięcioletniej, że ona przez całe życie kochała Mickiewicza. Postaramy się sprawdzić to zdanie przy pomocy analizy poezji Pawłowej—Jaenischówny. Zanim jednak do tego przejdziemy, podamy garść faktów o jej życiu i twórczości.

1) Utwory Pawłowa, który z zamiłowań był przedewszystkiem wielbicielem teatru (pracował w dyrekcji teatrów rządowych), większej wartości artystycznej nie posiadały. Popularność zyskiwał społeczną tendencją. Ciekawem jest, że obecnie bolszewicy wydali ponownie nowelę p. t. „Imieniny” (M. T. Pawłow: „Imieniny” izd. Parfenon 1921) — jako pierwszy utwór o wyraźniejszym ludowym zabarwieniu. Dodali wstęp Puszkina, wcale nie po- chlebny dla artystycznej wartości utworu.

Dopiero w 1837-8 roku Jaenischówna wyszła zamąż za poetę Pawłowa.¹⁾ Było to małżeństwo między dawniejszymi przyjaciółmi. Pawłow, syn chłopski, już w 1826-7., po skończeniu uniwersytetu, znany był w. salonie ks. Wołkońskiej. I on należał do grona moskiewskich filomatów — należał do poetyckiej świty księżnej-mecenaski. Gdy wyjeżdżała księżna do Rzymu, między innymi i on — Pawłow, żegnał ją wierszem pamiątkowym.

Właśnie w momencie zaręczyn z panną Karoliną, Pawłow zasłynął jako nowelista i publicysta zarazem. Napisał on wtedy nowelek kilka, poświęconych sprawie chłopskiej. Nowelki stały się głośne przez reakcję, jaką wywołały. Cenzura interwenjowała, konfiskując liberalny utwór Pawłowa, kółko dawniejszych „liubomudrow”, a w 1837 — „słowianofilów” — entuzjastycznie przyjęło utwory prozaiczne Pawłowa. Pawłow był przecież ich człowiekiem¹⁾, jak również... i żona, z domu Jaenisch.

Po wyjściu zamąż, Jaenischówna zarzuciła tłumaczenia i została sama rosyjską poetką. Twórczość

oryginalna rozpoczęła się dopiero w latach 1840-1850.

W 1843 słynny krytyk rosyjski, Bieliński, tak pisał o działalności Pawłowej — Jaenisch na niwie tłumaczeń.

„Pani Pawłowa (z domu Jaenisch) posiada nadzwyczajny wprost dar tłumaczenia wierszy. Z równą łatwością tłumaczy ona z angielskiego, niemieckiego, francuskiego na rosyjski, jak z rodzimego na niemiecki i francuski. Pani Pawłowa ostatnio z podziwu godnym artyzmem przetłumaczyła na francuski: „Dowódcę pułku“ Puszkina i „Dziwcię Orleańską“ Szyllera.“

Żonę liberalnego słowianofila także interesowały żywo zagadnienia społeczne. Napisała ona także powieść o tendencji społecznej: „Dwa życia“. Broniła w niej sprawy równouprawnienia kobiet. Wiersz zaś, „Rozmowa w Kremlu“, o tendencji słowianofilskiej, wywołał podobno, ożywioną dyskusję (Spór liberalnej słowianofilki. Pawłowej, z konserwatywnym nacionalistą Katkowym).

Za życia twórczość oryginalna Pawłowej przeszła bez większe-

go wrażenia. Tylko w gronie słowianofilów cieszyła się ona dużym powodzeniem. Poeta obozu — Jazykow, przywitał pierwsze utwory wierszem entuzjastycznym. Zaczęła się rozmowa poetycka między nimi.

Dopiero w okresie przedwojennym na poezję rosyjską Pawłowej zwrócili szczególną uwagę moderniści rosyjscy.

Symboliści — odkryli Pawłową. Oni także ocenili jej talent.

Wódz rosyjskich modernistów, Walery Briusow, wydał po raz drugi zbiorek jej poezji (pierwsze wydanie zbiorowe wyszło w 1863 r. Z tego wydania czerpiemy fakty biograficzno-psychiczne) i zaopatrzył go we wstęp biograficzny ¹⁾

Inny przedstawiciel modernizmu rosyjskiego — Andrzej Biełyj, autor ciekawej monografii teoretycznej,

¹⁾ Niestety, wydanie Briusowa nie było dla mnie dostępnem. O istnieniu tego wydania wiemy z książki tegoż Briusowa p. t. „Dalëkije i bliskije“ M. 1912. Wstęp, str. 1.

²⁾ Andrzej Biełyj: „Symbolizm“ cz. II str. 359-360.

„O Symbolizmie“, stale dla swych statystyczno-wersyfikacyjnych zestawień posiłkuje się jej wierszami. Zalicza jej poezję, pod względem hierarchji wartości, do kategorii drugiej, tuż za kategorią puszkiniowską stojącą.

O rytmice wierszy Pawłow-Jaenisch tak pisze:

„Rytmika Karoliny Pawłowej reprezentuje charakterystyczne połączenie rytmu Dierżawina i Tiutczewa. Psuje je poniekąd szkodliwy wpływ rytmiczny niezdarnego Benedyktowa. W każdym razie rytm jej jambu jest jednym z najciekawszych postaci rytmicznych, jakie zdarzyło mi się spotkać...“

Harmonijny wpływ wielu form rytmicznych składa się na rytmikę o niezwyklej gracji u tej wielkiej, a na nieszczęście zapoznanej poetesy. ²⁾

W podobny sposób ocenia znaczenie Pawłowej Konstanty Balmont w swej monografii, „Górskie wierzchołki“ (w rozdziale, stanowiącym skróty wykładu o rosyjskich poetach, mianym w Taylor Institution w Oxfordzie).

(c. d. n.)

R. M. Blüth.

W KRAINIE WRZOSÓW



izerne żyta miejscami jeszcze stoją po polach, czekając na żniwiarzy. Obok nich bieleją jeszcze mizerniejsze owsy i ledwo od ziemi odrosłe, a już żółknące — tak

spragnione wody ziemniaki. Gdzie żniwiarze pośpieszyli się, to wozy, zaprzężone przeważnie w krowy, zabierają zboże do domu. W południe z odwiecznym słychać stuk cepów w stodołach. Bo chociaż sprzęt nieskończony, to śpieszno jednak do nowego chleba, bo staro już dawno zabrakło i przednowek przebyło się o kupnym chlebie.

Gdzie zaś już i snopów na polu niema, tam widać pracę pługą, również przeważnie w krowy zaprzężonego. Ciężka to praca — orka. Z każdą skibą odwala się, Bóg wie, ile kamieni, co parę kroków zazgrzyta lemiesz po głazie. W kuźniach stała robota, koło pługów. Ale bo też to gleba: kamień na kamieniu, mniejsze, większe, drobne żwiry i kilkunastometrowe głazy. Pracowita, cierpliwa i skierowana miłującym nadewszystko ziemię sercem ręka rolnika kaszuby zbiera skręte-

nie ten „dopust boży“. Dziesiątkami metrów ciągną się wzdłuż dróg i miedziami wały kamienne, usypane ręką ludzką; piętzą się po polach olbrzymie kurhany kamienne. I chociaż po dziś dzień tworzą się nowe, to niektóre z nich są już tak stare, że potworzyły się o nich legendy jako o mogiłkach. Nie wszędzie jednak człowiek daje sobie radę z tem bogactwem kamieniem; często bardzo musi się cofnąć, a wtedy kamień panuje niepodzielnie. Morze kamieni. Olbrzymie głazy, jedne sterczą ku niebu, drugie, ukryte w ziemi, pokazują ledwo cząstkę siebie.

A między nimi drobiazg, brukowce, aż do drobnutkiego żwirku, który wszystko wyścieła. I takie płaty kamieniste ciągną się całymi kilometrami.

Niewielka obszarem, straszna byłaby ta kamienna pustynia kamienia, gdyby nie niepokazne, drobne lila kwiateczki wrzosu. Skromna ta roślina wyrasta z pośród najgęściejszej masy kamieni, zda się obywać bez gleby zupełnie; tam nawet, gdzie wrzosowisko wypala, to roślina odradza się szybko. Ciemne łodyżki, drobne, często

bardzo rdzawe listki tworzą ciemno rude tło, od którego odbijają wyraźnie wyrastające na wysokich łodyżkach kwiatki. Już w początkach sierpnia, wrzosy zaczynają się barwić, a co to będzie za parę tygodni? Wtedy całe fioletowe łany, bo nietylko ugo-ry kamieniste, ale i młode kultury leśne — to wrzosowiska, będą rywalizować z całym błękitem nieba i szafirem wód jeziornych, rozlanych tu obficie, jakby w nagrodę za tę nędzną ziemię. Również, jakby na przekór tej twardej i ubogiej przyrodzie, ludność jest rosła i piękna. Może i zmaganie się z losem wywarło swój wpływ?

A że ziemia nie starcza na życie, więc się ludność ima innej roboty: samodzielne płótna, ręczne trykoty, sklepy, oberże i hotele, które napróżno obecnie oczekują turystów (dawniej wędrowka po zarobek do Westfalji, a teraz — spojrzenie w głąb kraju, który na razie ma też dość ręk roboczych).

A wszystko to jest dokładnym obrazem południowo-zachodniego kąta powiatu kartuzkiego koło Męciszewic, Sulęcyna, nad granicą niemiecką.

R. Fleszarowa.

MARJA GROSSEK-KORYCKA

F E L J E T O N

ŚWIAT KOBIECY

CZEŚĆ II.

14

NOTATKI PSYCHOLOGICZNE



Kobieta kocha albo indywidualnie rodziców, dzieci, oblubienca — albo, gdy się te gorące uczucia już wypalą czy też nie zapalą się w niej nigdy, kocha czystą abstrakcję: ideał — Boga, Ojczyznę, Ludzkość, Społeczeństwo.

To jednostajne ciepło serca dla każdego, ten surogat ewangelicznej miłości bliźniego, dochodzącej do wzniosłego paradoksu, do irracjonalizmu boskiego w świętym Franciszku, który całował trędotatych — ono jest raczej właściwością mężczyzny!

Święte były to wielkie ekstatyczki, natchnione wizjonerki i męczennice wiary. Dziełom miłosierdzia oddawały się „dla miłości Boga“.

Pobłażliwość, wyrozumiałość i przebaczenie cnoty, związane z miłością ewangeliczną, jak również zimna obowiązkowość i sprawiedliwość: cnoty rozumu, nie są to cnoty, w których celuje kobieta!

Kobieta żyje miłością — mężczyzna dziełem.

Czem dla generała, głównodowodzącego stworzyć plan zwycięskiej kampanji, tem dla kucharza zbudować na torcie piękną piramidę z cukru.

Obaj wkładają w tę czynność całą swoją energję, wszystkie zdolności i równą dozę tej samej szlachetnej ambicji: zrobić dobrze to, co do niego należy. Drażliwym punktem honoru dla obydwóch nie dać się przesiągnąć w robocie nikomu.

Jestto zadanie życia, któremu podporządkowuje się nawet szczęście. Tem bardziej, że wiadomo mężczyźnie, iż będzie kochanym przez kobiety proporcjonalnie do swego dzieła.

Kobieta podepcie swoje dzieło sama, własnymi nogami, rozpocznie je najgenialniej, a zaprzepaściwszy na wieki swoją karierę, swoje zdolności, usiądzie w cichym kątku, zadowolona, haftować dla ukochanego szlafmycę.

Kiedy mój kucharz jest zakochany, to ja wiem, że pomimo najlepszego zawodu, jaki go spot-

ka albo najrozkoszniejszej niespodzianki, jaka na niego spadnie, on mi poda obiad w zwykłym czasie, sporządzony przyzwyczajenie. On zazwyczaj przecenia doniosłość powierzonych mu funkcji i drży, aby mu ich nie odebrano...

Ale jeżeli się zakocha moja kucharka, to spali pieczeń, da rosółowi wykropić i zwieje gdzieś w największy rozgardjasz domowy. Utrata najzyskowniejszej posady jest dla niej niczem wobec jednej chwili postania z nim przed bramą.

Kobieta żyje miłością!

Ta młodzianka, co jeszcze nie kochała, żyje marzeniem o niej.

Dojrzała, pomiędzy jedną a drugą godziną miłości, gdy mechanicznie pracują mózg i palce — połowę czasu oddaje się rozpamiętywaniu tego, co było, połowę wywołaniu w wyobraźni tego, co będzie...

Stara! żyje wspomnieniem.

Żyje miłością kobieta namiętna, l'Éternelle Amante. Izolda, Hero, Heloiza, Julja, Desdemonia.

Żyje miłością kobieta zmysłowa, kobieta żywioł, Izis, Matka świata.

Żyje miłością kobieta mózgowa, której miłość nie może przeżyć przejścia z wyobraźni do rzeczywistości — której miłość pryska jak bańka mydlana, pod pierwszym dotknięciem palców realizujących... pozostawiając jej na sukni wilgotny ślad kilku łez.. Żyje miłością kobieta mózgowa, która nie ma daru wzbudzenia miłości, a jeszcze mniej umiejętności podtrzymania jej ognia.. Żyje więc ustawicznie prymicjami miłości.. nadzieją pączka, który nigdy nie staje się kwiatem ni owocem.

Żyje miłością i ta zimna zalotnica, która, naodwrot, posiada najwyższy dar doprowadzania mężczyzny do szału — dar rzucania czarów na cały tłum otaczających ją mężczyzn, sama dotknięta niemocą kochania!.. Natura nierzadko buduje człowieka z przeciwnieństw nie do uzgodnienia, dla niego samego fatalnych. W tej za-

lotnicy tkwi antynomja dramatyczna: ona nie może żyć bez miłości, mając naturę kobiety, a kochać nie może jej serce, od natury upośledzone, od urodzenia kalekie... lub które poraziło na zawsze bezwładem pierwsze nieszczęśliwe uczucie.. Złakniona miłości, ona jej wiecznie szuka, namiętnie roznieca dookoła siebie — aby grzać się u cudzego ogniska, ściśnięta zimnem swego serca.

Ona się ciągle łudzi, że jeszcze zapali się sama od kogoś jeszcze innego, nowego, który nadejdzie wreszcie... I wciąż szuka, wciąż goni za tym innym, nowym. Aż lodowaty wichur zwieje płocze kwiaty ostatniego zimokwitu.

Żyje miłością ta najliczniejsza, najpospolitsza, ta najlepsza, kobieta pszczoła, ulowi swemu poświęconą kapłanka ta, która „miód ma dla swoich, a żądło dla obcych“ kobieta rodzinna.

I ta nawet upośledzona, odpychająca i odepchnięta — ta, która nie kochała i nie była kochaną: Jędza! klęska rodzin — i ona jeszcze, żyjąc zawiścią i nienawiścią, żyje miłości negatywnym jak szatan, który „też pochodzi z nieba“.

I złe, i dobre, i grzech mój, i cnota,
I czego pragnę, i czego się boję,
I myśli moje, i modlitwy moje,
I życie całe — to tylko tęsknota.

(mówi Żmichowska).

To tylko miłość!.. poprawia kobieta.

Ale jestto raczej psychologia prototypu kobiecego?!.. psychologia istoty prymitywnej, jaką była dotychczas kobieta?

Tak jest, niewątpliwie!

Za lat pięćdziesiąt, gdy kobieta przebiegnie już duży kawał po drodze ewolucji wśród nowych warunków wolnego człowieka, jakaś przyszła pisarka będzie w tym samym „Bluszczu“ ustalać nową psychologję niewieścią.

Nas jeszcze dzisiaj obowiązują klasyczne rysy, odziedziczone po przeszłości.

Olbrzymia większość kobiet jest jeszcze do tego konterfektu podobna!

(c. d. n.)

*) W numerze 34-ym wydrukowano przez omyłkę „c. d. n.“ zamiast „koniec“, pod nowelką Świekra i Synowa, która się skończyła, a na początku w Nr. 35 ominięto podtytuł: Notatki psychologiczne.

ANNA SŁONCZYŃSKA

M I A S T O

.. Rozigrały się i biegną naoslep — ulice,
ścigojące się dziewczyny, gibkie tanecznice,
brzęczą, jakby nosiły bransolety u nóg,
ciskają srebrem śmiechu o dzwoniący bruk.

A po bokach tanecznic owych — kamienice,
podobne do zastygłych, niemych, głuchych starców;
zimnem okiem spoglądają na swawolność harców —
i tylko czasem ozwie im się w kościołach skrzyp,
tylko czasem zazgrzytają szklane zęby szyb.

A dookoła tych starców — na gwałt
pędzą z szatańskim wrzaskiem czarne widma aut,
plując cynizmem dymu i wlokąc za sobą
tren kurzu, lśniący błota miejskiego żałobą.

..Nad tem wszystkim kościoły, bliskie słońca i gwiazd,
modlą się wieżycami — o zbawienie miast!

ORKIESTRA BURZY

..Naprzód wyszła na niebiosa sfera dzikich psów
i szczełała, ukazując białe błyski kłów;
potem wbiegły podpalone, szalone rumaki,
uderzyły kopytami o stalowy bruk,
obrzuciły płomieniami szafirowe szlaki;
potem wyskoczyły smoki, gigantyczne smoki,
z nozdrzy rudy dym puściły, a z gardzieli huk,
z pysków lały przezroczyście, kropliste potoki;
potem runął buf rycerzy, z lun mający brwi,
zbombardował chmurom miasta, rozłupał na części,
strącił księżyc, strącił gwiazdy uderzeniem pięści,
ciału niebios krwi utoczył, fioletowej krwi;
w końcu wpadła, bijąc wszystkich, na śmierci kwadrygach,
czarna armja Antychrysta w piekielnych wyścigach,
połykała planet kule, gryzła osi ziemskiej kołce,
rozdziałała, rozwalila, roztrzaskała Słońce!!!

Ludzie, słysząc to, truchleli w nieprzytomnej skrusze
i mówili: „Wieczny Pokój” za wszechświata duszę..

FANTAZJA OWOCOWA

..Widzę je, jak na dłoni (na jawie czy też — we śnie?),
owoce wszystkie razem, wszystkie jednocześnie
biegną czerwone jak usta i jak usta soczyste — czereśnie...
podrygują niby krople dżdzu, niby kulki szklane — wino —
aż bulgoce w nich krew fiołkowa lub zielona... [grona,
ciskają się, upadają wesole a ciężkie pomarańcze:
złote piłki, słońcem malowane — złote piłki słońcem obłą-
[kańcze..

toczą się niezgrabne jak staruszki — pomarszczone,
[zwiedle jak staruszki,
zółte pękate jabłka, zółte pękate gruszki.
bulają jak po winie podchmielone brzoskwinie,
otulone mchem puszką jak buzie dziecinne...
i kroczą, oczekując na hołdy powinne,
pełne kolącej pychy i pachnącej rasy —
królewskie ananasy.

I witają się wszystkie, i tykają czołem,
i chwytają za ręce, i tańczą kołem...
I ucieszone tańcem i własnym widokiem,
pękając ze śmiechu, oblewają się sokiem!

...A ja patrzę w łakomstwie, a ja patrzę w zachwycie,
jak płynie im po gładkich twarzy aksamicie,
podobny do łez szczęścia, ronionych obficie —
sok słodki jak.. Życie —
sok cierpki jak... Życiel..

BŁĘKITNY PUHAR

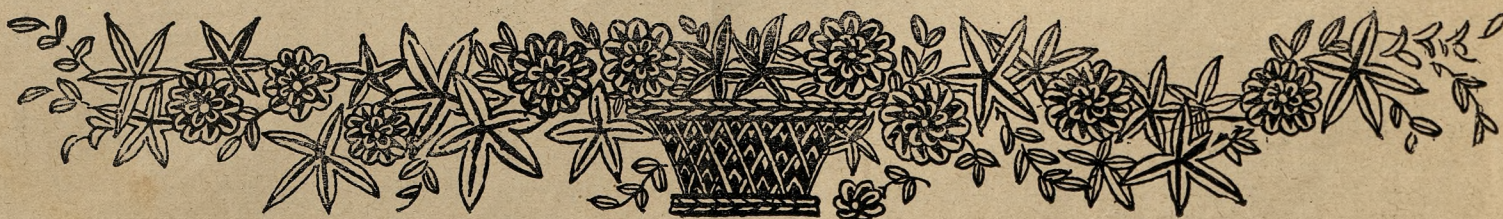
Błękitny puhar Morza — przepyszny i olbrzymi —
szafirowy płyn chwieje, niebieską mgłą dymi

Potrząsa szafirami, wytwarzając pian kity,
niecierpliwi się, jakby chciał zostać wypity.

Szofiry w górę ciska — napelniony po brzegi —
..pochyla się z ciężkości, upuszcza pian śniegi.

Piana szafir porzuca, na ląd patrzy i pędzi —
o, lądy pójdźcie! złóćcie wargi na krawędzi..

Pijcie płyn — z wierzchu biały, szafirowy pod spodem,
pachnący wodą, wiatrem, szcympanem i lodem!



JOSEPH CONRAD (JÓZEF KORZENIOWSKI)

TŁUMACZYŁA TERESA TATARKIEWICZOWA

Z POWODU DOLARÓW

1

I

Gdy wałęsaliśmy się nad wodą zwyczajem marynarzy, przebywających na ładzie stałym (a działało się to na placu przed Urzędem Portowym w wielkim wschodnim porcie), zauważyliśmy człowieka, który, kierując się od szeregu sklepów, podążał w naszą stronę, idąc ukośnie ku schodkom portowym. Zwrócił moją uwagę, gdyż ubranie jego, składające się ze zwykłej marynarki i spodni z jasno popielatej flaneli, odbijało od białych bawełnianych strojów tłumu, krążącego po ulicy.

Zdażyłem mu się przyjrzeć dokładnie. Był otyły, ale nie śmieszny. Twarz miał okrągłą i świeżą, a cerę bardzo jasną. Gdy się przybliżył, zauważyłem niewielki, jak na tak tęgiego człowieka, podbródek i małe jasne wąsiki, które rozjaśniała jeszcze siwizna. Przechodząc obok nas zamienił ukłony z moim przyjacielem i uśmiechnął się do niego.

Ten przyjaciel — to ów Hollis, który w swojej młodości miał tyle przygód i znał wielu dziwnych ludzi w tej części „Wspaniałego Wschodu”.

„To dobry, porządny człowiek”, rzekł Hollis. „Nietylko w interesach, ale wogóle to prawdziwie dobry człowiek”.

Obejrzałem się, aby spojrzeć na ten fenomen. „Prawdziwie dobry człowiek” miał bardzo szerokie plecy. Widziałem, jak skinął na sampan, aby się zbliżył i, wsiadłszy doń, popłynął w kierunku kilku parowców, stojących na kotwicy w pobliżu wybrzeża.

„Czy to marynarz?” zapytałem.

„Tak. Jest komendantem tego wielkiego ciemno zielonego parowca, noszącego nazwę „Sissie z Glasgow”. Nigdy nie komenderował innym statkiem niż „Sissie z Glasgow”, tylko że „Sissie” nie była zawsze ta sama. Pierwsza, którą dowodził, była o połowę mniejsza od terażniejszej. Tłumaczyliśmy wówczas biednemu Davidson’owi, że jest dla niego za mała, gdyż już wówczas był bardzo otyły. Ostrzegaliśmy go, że na takim małym statku mogą mu się porobić odciski na łokciach i ramionach. Odpowiadał nam tylko uśmiechem na te drwiny, gdyż zarabiał mnóstwo pieniędzy na tym parowcu. Statek ten należał do majestatycznego chińczyka, wyglądającego na mandaryna z obrazka, w okrągłych okularach,

z cienkimi opuszczonymi wąsiskami, pełnego godności, na jaką jedynie mieszkańcy państwa Niebieskiego umieją się zdobyć.

Chińczycy, jako pracodawcy, postępują jak prawdziwi gentlemen. Przekonaawszy się, że mają do czynienia z uczciwym człowiekiem, obdarzają go nieograniczonym zaufaniem, którego niepodobna wówczas nadużyć. Przytem umieją ocenić charakter człowieka. Chińczyk Davidson’a pierwszy poznał się na jego wartości drogą teoretycznego rozumowania. Kiedyś w swym kantorze, w obecności kilku białych, oznajmił: „Kapitan Davidson jest dobrym człowiekiem”. I to ustaliło opinię Davidson’a. Odtąd niewiadomo było, czy Davidson podlega Chińczykowi, czy Chińczyk — Davidson’owi. Na krótko przed śmiercią zamówił w Glasgow nową „Sissie”, aby oddać ją pod komendę Davidson’a”.

Ukrywszy się w cieniu Urzędu Portowego, oparliśmy się łokciami o parapet bulwaru.

„Chciał w ten sposób pocieszyć Davidson’a”, ciągnął dalej Hollis. „Czy możesz sobie wyobrazić coś bardziej wzruszającego w swojej naiwności od tego starego mandaryna, wydającego kilka tysięcy funtów, aby pocieszyć swego białego człowieka? Widzisz, tam oto stoi ten statek. Synowie starego mandaryna odziedziczyli statek wraz z Davidsonem, który nadal nim dowodzi. Oszczędzając na swej płacy i pobierając duże procenty od interesów handlowych, Davidson zbiera ogromny majątek. Jednym słowem, nic się nie zmieniło; widziałeś nawet, że Davidson się uśmiecha, tylko że ten uśmiech nie jest już taki, jaki był dawniej”.

„Powiedz mi”, spytałem. „co znaczy dobry w tym wypadku?”

„Są ludzie, którzy od urodzenia są dobrzy tak, jak inni są dowcipni; w tym wypadku miałem na myśli jego dobrą naturę. Nigdy jeszcze zapewne tak pełna prostoty i subtelności dusza nie zamieszkiwała równie obszernej... powłoki cielesnej. Cośmy się nie naśmieli ze skrupułów Davidson’a. Krótko mówiąc, jest on głęboko ludzki i nie przypuszczam, aby na tym świecie inny rodzaj dobroci posiadał jaką wartość. A że dobroć jego ma pewien odcień subtelności, nazwałem go prawdziwie dobrym człowiekiem”.

Oddawna wiedziałem, że Hollis przywiązuje wielką wagę do odcieni. Rzekłem więc: „Rozumiem”, gdyż rzeczywiście odnalazłem w otyłym, sympatycznym mężczyźnie, który przed chwilą przeszedł obok nas, Davidson’a takiego, jaki mi opisywał Hollis. Lecz przypomniałem sobie, że, gdy się do nas uśmiechnął, spokojna jego twarz powlokła się smutkiem, jakgdyby padł na nią cień. Ciągnąłem dalej:

„Któż mu tak za jego dobroć zapłacił, że się uśmiecha teraz jak przez łzy?”

„To długa historia; jeżeli chcesz, mogę ci ją opowiedzieć. Było to bardzo dziwne zdarzenie, szczególnie, jeśli się weźmie pod uwagę, że się to zdarzyło biednemu Davidson’owi chyba tylko z powodu jego wyjątkowej dobroci. Sam mi to wszystko opowiedział dopiero parę dni temu. Jak powiada, głowy tych czterech łotrów, skupione ponad stołem, nie podobały mu się od pierwszej chwili. Nie podobały mu się wcale.

Nie myśl, że Davidson jest poczciwym głupcem. Ludzie ci...

Lepiej jednak zacząć od początku. Musimy się jednak cofnąć do chwili, kiedy nasz rząd zaczął wycofywać stare dolary wzamian za nowe. Wówczas właśnie porzuciłem te strony i wróciłem na dłuższy przeciąg czasu do domu. Kupcy, mieszkający na wyspach, starali się tu odesłać na czas stare dolary; nigdy jeszcze nie było takiego popytu na skrzynki po winie francuskim; wiesz, takie, w których się mieści tuzin butelek burgunda lub wermutu. Pakowano zwykle dolary w małe woreczki, po sto sztuk w każdym. Nie pamiętam już wiele woreczków mieściło się w taką skrzynkę, w każdym razie sporo. Żadne sztuki musiały wówczas pływać po morzu. Ale chodźmy stąd, nie będziemy przecież stali na słońcu. Gdziebyśmy tak mogli?... Już wiem! Chodźmy do baru na przeciwko!”

Poszliśmy tam zaraz; ukazanie się nasze w długiej, pustej sali o tak wczesnej porze wznieciło popłoch pośród kelnerów Chińczyków. Hollis skierował się do jednego ze stolików, stojących między oknami, które przysłaniały trzciniowe zasłony. Jaskrawy półcień drżał na suficie, na pobielanych ścianach, a puste krzesła i stoły kąpały się w jego dziwnym, nieuchwytnym świetle.

„Zjemy, gdy coś będzie gotowe“, rzekł, odsuwając mocno zaniepokojonego chińskiego kelnera. Ujął w ręce siwiejące skronie i, pochyliwszy się nad stołem, przybliżył do mojej swojej twarz o żywych, ciemnych oczach.

„Davidson był wówczas kapitanem parowca „Sissie“, tego małego statku, z powodu którego żartowaliśmy z niego. Dowodził nim zupełnie sam, miał tylko jednego pokładowego oficera Malajczyka. Jedyny człowiek na statku, przypominający białego, był to portugalski metys, mechanik, chudy jak deska i zupełny nowicjusz w swym fachu. Davidson więc z praktycznych względów sam dowodził statkiem; naturalnie wiadano o tem w porcie. Wspominam o tym fakcie, gdyż będzie miał wpływ na rozwój wypadków, o których zaraz ci opowiem.

Parowiec jego był tak mały, że zapuszczał się w wąskie zatoczki i płytkie przystanie, przepływał rafy i mielizny, zbierając miejscowe płody tam, gdzie o dostaniu się nie mógł marzyć żaden okręt ani nawet krajowy stateczek. Opłacało się to nieraz doskonale. Davidson znany był z tego, że odwiedzał miej-

scowości, które nikt nie umiał odnaleźć i o których mało kto nawet słyszał.

Gdy zaczęto wycofywać stare dolary, Chińczyk Davidson'a wpadł na myśl, że możnaby je zbierać na „Sissie“ od wszystkich najmniejszych nawet kupców, w najbardziej zapadłych kątach Archipelagu. Był to świetny interes. Skrzynie z dolarami, ustawione w okrętowym magazynie, tworzą znakomitą ładugę, z którą jest niewielki kłopot, gdyż mało zajmują miejsca.

Davidson uważał także ten pomysł za doskonały i we dwóch zrobili spis miejscowości, gdzie statek miał wstąpić podczas następnej

swjej podróży okólnej. Wówczas Davidson, który miał w głowie mapę swoich podróży, zauważył, że w drodze powrotnej mógłby wstąpić do pewnej osady nad maleńką zatoką, gdzie jakiś biały człowiek, wielki biedak, żył w wiosce krajojców. Davidson zaznaczył Chińczykowi, że będzie miał pewnie ładugę ratanu.

„Może nawet zapełni cały przód okrętu“, rzekł Davidson. „Lepiej go tem zapchać, niż wracać z pustym spodem, a czy podróż trwa dzień dłużej, czy krócej to nie stanowi różnicy“.

Była to dobra rada i Chińczyk musiał się na nią zgodzić. Lecz gdyby nawet Davidson nie miał racji, byłby się tak samo zgodził. Davidson robił, co chciał — zresztą robił wszystko dobrze. Projekt ten miał jednak nietylko interes w względzie; był on także dowodem dobroci Davidson'a: trzeba wiedzieć bowiem, że ów biały nie mógłby wyżyć nad swą zatoką, gdyby Davidson nie wstępował tam od czasu do czasu. Chińczyk wiedział o tem doskonale, więc uśmiechnął się z godnością i słodyczą, mówiąc: „Dobrze, kapitanie. Zrób, jak ci się podoba“.

(c. d. n.)



W A N D A M I Ł A S Z E W S K A

20

ZATRZYMANY ZEGAR

(powieść)



o ostatniej godzinie lekcji zaszedł na plebanję. Proboszcz poprosił całe „ciało nauczycielskie“ na skromną przekąskę. Ta przekąska składała się z mnóstwa

specjałów, które słynnie przyrządzała panna Monika. Leonka Mrozowiczówna jako poniekąd „domowa“ pomagała jej rozstawiać półmiski z pięknie nakrajanem mięsiwem i szklane miseczki, pełne najrozmaitszych sałatek.

Toczyła się dość ożywiona rozmowa, przeważnie na temat rozpoczętych wakacji. Ten jechał do rodziny, ów do dalszych krewnych lub dobrych znajomych. Panna Leonia przysiadła się do mnie i szepnęła z roziskrzonymi szczęściem oczami:

— Jutro wyuszamy do tego Stryja... Tak się cieszę! Władzio

(powiedziała z dumą: Władzio) odwiedzie mnie, spędzi tam kilka dni, a potem pojedzie na kursy. On ciągle, ciągle się uczy, proszę pani! A ja zostanę u jego matki aż do...

Urwała ze wzruszeniem i dokończyła jeszcze ciszej, uroczyście: — Aż do dnia ślubu.

Poszukała swojego kochanego Władzia wzrokiem i nie mogła oczu oderwać od jasnej czupryny i oczu, które są zupełnie jak dwie smugi niebieskie, „prawda, proszę pani?“

Jednakże w chwilę później znów się zwróciła do mnie:

— A pani kochana dokąd wyjedzie?

— Ja?

Zaskoczyło mnie to pytanie. Dotychczas nie pomyślałam o sobie, o tych moich „wakacjach“. Nikt mnie nie oczekuje, na całym świecie niema chyba istoty, która-

by pamiętała o mnie. Pomyślałam: jest takie jedno miejsce na świecie, gdzie może czekają na mnie — to cmentarz Klimontowski. Tak, tam napewno czeka mnie droga mama, a może także i ciotka Eufemja. Stara dama niecierpliwie się pewnie i zżyma w swojej obszernej trumnie dębowej... Zastukałaby laską, gdyby ją miała pod ręką, i burknęłaby gniewnie:

— A, to ty? Nareszcie! Długo trzeba było czekać, aż sobie o nas przypomnisz! Chodź — że, nie marudź dłużej! Zawsze marudna byłaś, moja pan o...

Jak wyraźnie zabrzmiał mi w uszach gniewny, chrapliwy głos... Jak słodko byłoby usłyszeć ten głos naprawdę, raz jeszcze dostać burę jak mała dziewczynka i pocałować ze skruczą stare, kochane ręce, ostatnie ręce, które mnie ongi, przed laty, błogosławiły na drogę w świat...

Nie omyliłaś się, zacna staruszeko, wyrażając powątpiewanie o moich zdolnościach życiowych, wtedy, przed laty. Rzekłaś wówczas:

— Trzymaj się, Krysiu, trzymaj się, bo ty masz serce z wosku, a ręce z ciasta... Mazgaj z ciebie, jednym słowem, a z tem między ludźmi niewiele wskórasz...

No — i stało się tak. Odbierano mi — pokolei — co kto zapragnął: miłość, pieniądze... Nawet pieniądze... Nawet — miłość... Pozwoliłam wydzierać sobie wszystko bez protestu, a jeśli nawet buntowałam się, to tylko wewnętrznie, tak cicho, że nikt nie słyszał...

A teraz — mam blisko trzydzieści siedem lat i jedynego przyjaciela: stary, popsuty zegar z Klimontowic. Z nim rozmawiam o młodości „górnjej i chmurnej“, gdy samotność zanadto zaciąży na sercu.

Spojrzałam na zegar, wiszący w jadalni proboszcza! Dochodzi czwarta. Spojrzałam na pannę Leonkę: przyglądała mi się ze zdumieniem...

— Przepraszam... Pani pytała o coś?.. Nie dosłyszałam... Zamyśliłam się, nie wiedzieć o czem. Pytała pani, czy stąd wyjadę na wakacje? O to pani pytała?

— Tak.

— Zostanę tutaj.

— Zostanie pani w takiej dziurze? Ależ to się można na śmierć zanudzić, proszę pani! Zwłaszcza teraz, kiedy się wszyscy porozjeżdżają... Co też pani mówi!

— A jednak nie wyjadę. Już kiedyś tłumaczyłam pani, droga panno Leoniu, że ja ogromnie lubię te strony. Będę sobie chodziła do lasu, na łąki.. Wypocznę... A że zostanę sama jak palec, więc z konieczności odbędę kurację milczącą. To mi nawet doktor zalecił ze względu na struny głosowe.

Śmiałam się z jej miny niedowierzającej, zdumionej. Kręciła głową jak wróbel, wreszcie rzekła:

— Ja się pani dziwię i nadziwić się nie mogę... Przesiedzieć tu dobrowolnie blisko trzy miesiące... Trzy miesiące!

— O, miną szybko! A na jesieni powitam panią, panno Leonko, z chlebem i solą na progu waszego mieszkania...

Pochyliła się ku mnie i, nie zważając na wszystkich obecnych, ucałowała bardzo serdecznie w oba policzki:

— Strasznie, strasznie panią Kocham... — rzekła — chociaż nie wiem nawet, czy wzajemnie. Pani jest dobra. Napiszę do pani, można? Przysięgam pani pocztówkę... I zawiadamie pani o dniu ślubu. Panią najpierwszą...

XXIV.

Przeszło ćwierć wieku temu doszliśmy do przekonania z Adasiem, że las klimontowski jest wyjątkowo piękny, wyjątkowo tajemniczy, wogóle wyjątkowy, i że takiego drugiego lasu nietylko w okolicy, ale nawet i na całym świecie nie znajdzie.

Rzeczywiście, był to wspaniały las. Mówię „był“, ponieważ nielitościwa dłoń człowieka, który wszystko na brzęczącą monetę oblicza, kalkuluje i do swych pojęć o pożytku nagina — przetrzebiła ten las, skazując najpiękniejsze okazy wiekowych drzew na śmierć.

Janusz Klimontowski dowodził, że racjonalne prowadzenie lasu wymaga przede wszystkim odpowiedniego wyrębu, że zbyt stare drzewa nie dają przyrostu, że należy je bezwarunkowo usunąć, aby nie tamowały rozrostu młodniaka, nie zabierały mu światła, etc... etc..

W myśl tak słusznych racji wycięto kilkaset przepięknych sztuk, pamiętających zapewne Polskę od morza do morza.

Nigdy nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że troskę Janusza o młode pokolenie drzew wzmocniła bardzo konieczność stawiania nowych budynków na folwarku oraz wyrównania budżetu w jakiś wybitnie nieurodzajny rok. Zgóry przesądzony wyrok śmierci został więc umotywowany bardzo fachowo, bez wykroczeń przeciw nieubłaganej logice, że w gospodarstwie rolnem wszystko musi być użyteczne i dawać odpowiedni przychód.

Tak poszła klimontowskiego lasu część wschodnia. Wyznaczono szerokie trasy przerębów i bujny, soczysty mech, który nigdy słońca nie widział, nawet w najskwarniejszy dzień lipcowy, począł schnąć w palących promieniach, miotanych nań pod kątem trzydziestym piątym...

A potem przyszła wojna. Już bez planu i bez racjonalnych motywów wędrowały olbrzymie świerki i grube, proste jak świeca sosny do okopów; wędrowały także do okolicznych wiosek, bo kto by tam w światowej zawierusze robił gwałt o kilka sążni drzewa, wywiezionego potajemnie małemi chłopskimi wózkami w ciemną, choć oko wykol, noc..

Zmarniał las. Tam, gdzie jeszcze za moich dziecięcych lat istniał gąszcz nieprzebyty, czaił się mrok wilgotny, a powietrze przesycała duszna woń igliwia i gnijących na ziemi liści, szczerzą zęby spróchniałe pnie na polanach, po których wiatr hula swobodnie. A jednak i dziś jeszcze las jest przepiękny, tajemniczy, pełen woni paproci, wilgoci mchów i drgający od głosów przeróżnych ptactwa dzikiego, które rzadka tylko wysłedzić można, a zawsze się słyszy i rozpoznaje szmery przedziwne, pogwizdywania i trele tych niewidzialnych mieszkańców.

Ktoby twierdził, że paprocie nie mają żadnej woni, myli się, nie zna ich zbliska, nie wtulił nigdy twarzy w ich chłodne, strzępiaste listeczki. Paprocie pachną cudownie: pachną ziemią i mchem, poziomkami, pachną całym lasem.

Wśród tych paproci i mchów, w najdzikszych zakątkach, zdala od sieci wydeptanych ludzką stopą ścieżynek, to znowu na polanach, zalanych słońcem, z trawą krótką i suchą, z pokładem sypkiego igliwia sosen, spędzam już trzeci tydzień.

Budzi mię codziennie inny świt: jaskrawo czerwony, amarantowy lub blade liljowy. Biegnę do okna, patrzę na czyste niebo lub, widząc niewinne chmurki, mawiam w siebie, że deszczu nie będzie. Ubieram się z pośpiechem, przełykam dzbanuszek mleka, przygotowany zawczasu, chwytam pierwszą lepszą książkę i śpieszę przekonać się, czy dziś jest również uroczyste święto w królestwie sosen i świerków, tak, jak było wczoraj, jak będzie zapewne i jutro.

Do lasu mam przeszło dwie wiorsty od ostatniej, wpadłej w ziemię, siedziby ludzkiej. Idę naprzelaj polami, aby nie tracić drogiego czasu. Zdaleka już witają mię przyjaciele moi przeciągłym szumem albo milczącą powagą nieruchomych wierzchołków. Wciążam w płuca tęga woń młodego igliwia. Giętkie, kolące gałązki opryskują mi twarz nieskalanemi kryształowemi kroplami rosy... Tu jakiś pajak, widocznie wcześniejszy ptaszek ode mnie, rozsunął pomiędzy dwoma świerkami siatkę misterną, tam znowu wyrosło jak z pod ziemi, potężne mrowisko. Przysięgłabym, że go wczoraj w tem miejscu nie było. Czasem przemknie przez gęstwinę zapóźniony zajęć, który noc całą zerował na pobliskim owsie; czasem podniosę z ziemi kilka zbitych w kłak piórek, znak nieomylny, że wrzała tu niedawno zażarta, może śmiertelna, walka o byt... (c. d. n.)



KAROLINA BIELAŃSKA

Z CYKLU: PROFILE ROMANTYCZNE

PIĘKNA PAMELA

(LADY FITZGERALD)

1773 — 1831

13



Był ponoć specjalny powód zawziętości, z którą the spy of Hamburg oskarżał młodą kobietę. Turner, bywając w domu Fitz Geraldów, zapalał gwałtownym afektem ku pięknej pani domu. Widząc serdeczną poufałość, z jaką traktowała przyjaciół męża, wyraził swoje uwielbienie zbyt śmiało. Pamela, mimo całej impulsywności, znała się lepiej na ludziach od zbyt ufego męża.

Zachowanie się młodego człowieka dotknęło ją niemile i wstrzymała jego zapędy tem „spojrzeniem i miną księżniczki, które, w razie potrzeby, umiała tak dobrze przybierać“.

Stąd uraza, chęć zemsty, a może wyrachowanie, godne czarnego charakteru z melodramatu, żeby kiedyś, strąciwszy wprzód młodą kobietę w otchłań nędzy i niedoli, ofiarować jej swą pomoc i uczynić swym łupem.

Tymczasem prowokator macił wodę, gdzie się dało, z djabełską uciechą podsycając budzące się tu i owdzie waśnie wyznaniowe przez swoich agentów a następnie informując Dyrektorjat w Paryżu, iż: „duch republikański gaśnie w Irlandji, gdyż à la longue katolicy nie mogą iść ręką w rękę z protestantami“. Notuje szyderczo w swym raporcie do lorda Downshire: „Fitz (sic!) przyszedł poskarżyć mi się, że katolicy czynią mu wstręty“.

Istotnie pod jesień 1797 roku lord Edward spostrzegł ze smutkiem i przerażeniem, że w dziele tak pomyślnie dotąd prowadzonym: zespolenia wszystkich Irlandczyków, coś się psuje, coś pęka. Dotknęły go bolesnie głosy, powstające jakoby przeciw jego osobie, szemrząc, że on, protestant, ma władzę wojskową w okolicy katolickiej, Kildare. Pośpieszył zlikwidować przykry incydent, robiąc, swoim zwyczajem, ofiarę z siebie. Odstąpił swą szarżę pułkownika podwładnemu, drobniemu właścicielowi z Kildare, cieszącemu się sławą gorliwego katolika i patrioty, Tomaszowi Reynolds.

Tom Reynolds! imię to stanie się w Irlandji synonimem zdrajcy.

Wiek z górą minął, zanim się dowiedziano, że arcy Judasz, który był sprężyną podłej akcji, to

krasomówczy delegat Ulsteru, Turner - Richardson! i że jego to ręka kierowała krokami Reynoldsa, gdy ten prosto z gościnnego domu Fitz Geraldów poszedł na zamek dubliński, by sprzedać swych towarzyszy.

Lord Edward, nie podejrzrywając nawet w prawej swej duszy całej otchłani podłości, otwierającej się przed jego nogami, oddał się *con amore* wypracowywaniu planów strategicznych, a zwłaszcza planu opanowania i obrony Dublinu, z którego związkowi chcieli stworzyć centrum swoich działań. Ludność miasta była nastrojona patriotycznie i wrzała pocichu. Trzeba było hamować jej niecierpliwość. W teatrach nie chciano odkrywać głowy przy odśpiewaniu hymnu: Boże zbaw, Króla; starcia między patriotami a oranżystami były na porządku dziennym. Na pogrzebie jednego z członków Towarzystwa, zastrzelonym przez policję, wystąpiło sześć tysięcy Zjednoczonych Irlandczyków, karną postawą budząc silne wrażenie.

Edward i Pamela mieszkali przez zimę w Leinster house sami jedni, gdyż książę bawił w Anglii przy ciężko chorej żonie.

Lord Edward, pracując nad planem topograficznym Dublina w celu ewentualnej samoobrony miasta, podnosił czasem oczy od swej pracy i patrzył z troską na swoją „dużą Pam“, która w tym wielkim, opustoszałym pałacu wydawała się drobną jak dziecko, osmuconą i podwójnie bezbronną, gdyż była znów w ciąży i zapadała często na zdrowiu. Wyprawił ją w grudniu na czas jakiś do wód w Chestenham. Miał żal pewien do matki, że boi się przysłać do nich Lucy, kiedy „niema już tego, co dawniej, powodu do obawy“. Ale z wiosną chciał odesłać swą małą rodzinę w miejsce bezpieczne. Pani de Genlis bawiła wówczas w Szlezwigu u znajomych, gdzie dał jej do dyspozycji „chatkę pod

strzechą słomianą“; cieszyła się sielankową ciszą, chwając sobie spokojne rządy Danji.

„Chcę aby Pam pojechała do swojej matki na odbycie połogu; w ten sposób oddalę ją od gwałtownych wydarzeń, które tu zająć mogą — pisze do matki, dodając, że o tym projekcie nie trzeba jeszcze mówić nikomu.“

„Ale dość już o rzeczach przykrych, mówmy teraz o Eddym. Mówią mi, że jest rozkoszny, że lubi grać w karty i wygrywać. Co on sobie wyobraża przytem, błazenek? Nie pozwalajcie mu wygrywać zbyt często, niech wie, że w życiu nie same powodzenia go czekają. Mówią, że nie jest tak uparty, jak jego ojciec; tem lepiej dla niego!“

* * *

24-go lutego 1798 roku Tomasz Reynolds, po rozmowie z Fitz Geraldem, prosto z jego domu poszedł do sekretarza stanu i sprzedał mu listy płatnicze skarbu narodowego, które mu właśnie oddał lord Edward. Doniósł również, że 12 marca ma się odbyć, w zakonspirowanem mieszkaniu, meeting, na który przybędą wszyscy wybitni działacze irlandcy.

Jakieś ludzkie uczucie odezwało się mimo wszystko w sercu Judasza, gdy spojrział w ufne oczy zdradzonego przez siebie człowieka.

W przeddzień zebrania przyszedł do Leinsterhouse i powiedział Fitz Geraldowi, aby nie szedł na umówione miejsce, sądzi bowiem, że władze mają już pewne poszlaki. Któż mógł o tem lepiej wiedzieć od niego!

Lord Edward pośpieszył ostrzec swych kolegów, ale zdążył powiadomić tylko czterech, piętnastu wpadło w ręce policji; pochwycono również ważne papiery. Pamela leżała w łóżku, gorączkując; zrobił jej się bolesny wrzód na piersi. Do pałacu przyszła policja. Na ostry rozkaz oficera chora musiała wstać, otworzyć wszystkie szuflady, wydać papiery męża i swoje własne. O zmroku, gdy lord Edward powracał do domu, zabiegł mu drogę wierny Tony i ze łzami w oczach przestrzegł, że w pałacu czatują na niego agenci policyjni.

Musiał czempredziej szukać sobie bezpiecznego schronienia. (c d. n.)



ZAGADNIENIE PSYCHIKI U ZWIERZĄT

(dokończenie)

Fenomenalnych zdolności Muhameda nie można kłaść też n. p. na karb jego wysokiej rasy arabskiej—rasy, stanowiącej arystokrację wśród koni. Bowiem M. Krall w miarę czasu skupowywał różnej rasy konie. Miał nawet kuca, „Haenschen“, który również nauczył się rachować. Nabył również konia bardzo pięknego, ale ślepego, „Berto“. Tego uczył rachunków, wystukując mu cyfry na skórze, a potem mówiąc mu je głośno; i rezultaty miał również dobre. Prof. Assagioli z Florencji stwierdził, że „Berto“ w krótkim czasie nauczył się operować małymi cyframi. Na zadawane głośno pytania—ile jest n. p. $65 + 11$; $65 + 12$; $9 - 4$; $8 - 2$; 3×3 , „Berto“ wystukiwał zupełnie dobre odpowiedzi.

Różny stopień zdolności umysłowych, wyróżniający wśród ludzi jedne osobniki z pośród drugich, w wieku szkolnym zwłaszcza tak bardzo bijący w oczy u dzieci, zachodzi i wśród koni.

Hans i Muhamed były wyjątkowo zdolne, Zarif trochę mniej; to samo było i z innymi końmi, które okazały się na różnych poziomach zdolności, zawsze jednak systematyczna praca nad nimi dawała mniej więcej też same rezultaty.

Oczywiście, konie te tak, jak to bywa i z dziećmi, nie zawsze były zdolne skupić swoją uwagę; czasem myliły się w odpowiedziach lub też pod wpływem złego humoru odmawiały odpowiedzi. Nieraz też, co jest ciekawe, eksperymentator im się zdecydowanie nie podobał. Jednemu okazywały sympatię, odpowiadały szybko i dokładnie, drugiemu—po opornym namyśle, a czasem w czyjs widok ogarniało je wyraźne rozdrażnienie. Wtedy nie chciały nawet słuchać zadawanych pytań, podczas gdy w chwilę potem, ugłaskane przez innego eksperymentatora, uspakajały się i chętnie rozwiązywały nawet trudniejsze zadania.

Sława koni z Elberfeldu zachęcała w Niemczech do podobnych prób i nad innymi domowymi zwierzętami, mianowicie—psami.

I oto w 1913 roku w paryskim „Matin“ pojawił się artykuł, poświęcony psu, imieniem „Rolf“, który to pies, kształcony przez swoją panią, również pisał, czytał i rachował. Wobec tego, członek paryskiego Tow. Psychicznego został wydelegowany do Mannheimu w Badenji, gdzie się pies znajdował, aby stan rzeczy sprawdzić.

„Rolf“, 3-letni owczarek szkocki o rudej, bujnej sierści, miał około 60 cm wysokości. Do właścicielki swej, pani Moeckel, żony adwokata, był wybitnie przywiązany, przechodził bowiem ciężką chorobę, z której go jego pani długą pielęgnacją wyratowała.

M. Duchâtel zaczął swoje eksperymenty z psem od zadania mu do rozwiązania następującego zadania, które mało które dziecko w szkole rozwiązałoby na pamięć.

$$\text{Mianowicie: } \frac{96 - 10}{9}$$

Rolf bez wahania odstukał przednią swą łapą = 9. Na zapytanie, ile ma reszty, wystukał = 5.

Również szybko dodał $10 + 3 = 13$; oraz odjął $6 - 2 = 4$.

M. Duchâtel poświęcił czas dłuższy na badanie i obserwacje nad Rolfem, a następnie opublikował je w „Annales des sciences psychiques“ w październiku 1913 roku.

Alfabet Rolf'a składa się:

1° z 24 pukanych znaków, odpowiadających 24 literom.

2° z 5 znaków umówionych, oznaczających 5 słów.

Mianowicie: Tak — 2 uderzenia. Nie — 3 uderzenia. Zmęczony — 4. Ulica (pójść na ulicę) — 5. Łóżko (spać) — 7.

Rolf język niemiecki, posiadający wogóle prostą ortografię, upraszczał sobie jeszcze sam, bardzo logicznie zresztą skracając słowa.

Mannheim n. p., nazwę swego rodzinnego miasta, składającą się z 8 liter, wystukiwał czterema pierwszemi: Mann... Siebie samego nazywał zaś „Lol“.

Pewnego razu zaszło zabawne zdarzenie. Rolf, przywiązany szalenie do pani Moeckel, nie odstępował jej ani na chwilę i asystował stale przy lekcjach, które ona miewała z dwiema swymi małymi córeczkami. Otóż raz maleńka i roztrzepana Frieda nie mogła sobie dać rady, ile też jest $5 + 5$. A kiedy zirytowana matka ją skarciła słowami: „Wstydz się, Rolf to napewno wie“, pies wyskoczył z pod stołu i mocno ucieszony, wystukał szybko = 10!

Rolf odznaczał się wielką spostrzegawczością i łatwo uprzedzał się do niektórych ludzi. W miarę coraz większego zżywania się z otoczeniem i zupełnego opanowania sposobu porozumiewania się z nim, Rolf nieprzewidzianie wtrącał się do ogólnej rozmowy. Pewnego razu była mowa o kimś, kogo pies zdecydowanie nie lubił. Usłyszawszy o kim to mowa, pies się zerwał i nerwowo wystukał: „to jest osioł“ Skarcony, że to on sam osioł, wystukał rozgniewany: „Nie“.

„A cóż ty jesteś?“ pyta rozbawiona pani Moeckel. „Lol swojej matki“, odstukał, tuląc pieśczołtliwie swój łeb do jej kolan.

Przykładów rozumu, serca i zdolności Rolf'a możnaby przytoczyć bardzo wiele. Co jest też ciekawe, to że miał on córkę „Lolę“, którą wychowała i kształciła niejaka panna Kindermann sposobem, przyjętym od p. Moeckel. „Lola“ okazała się również zdolna. D-r Mackenzie, który dłuższy czas również eksperymentował z Rolfem, a potem z Lolą, przyznał teje również wybitne zdolności. Matka Loli—Jela, była zdecydowanie tępa. Z wielkim trudem nauczyła się trochę dodawać, trochę odpowiadać na pytania, ale wogóle nauka szła jej ciężko bardzo, męczyła ją i była jej niechętna.

Lola przewyższała swego ojca swoją indywidualnością. Upierała się przy swoim zdaniu i nie zawsze dawała sobą powodować. Była łakoma i wåtła. Bolała ją często głowa.

Kochała ona wybitnie ojca swojej, pani i gdy tenże raz na dłuższy czas wyjechał, Lola wyraźnie za nim tęskniła. Otóż raz p. Kindermann, pisząc list do ojca, spojrzała na Lolę i powiedziała: — Chcesz, napiszę ukłony od Loli, dobrze?

Wtedy Lola szalenie się ożywiła i zaczęła radośnie wystukiwać długo łapką i niecierpliwie się, aby jej pani dosłownie, głośno to sobie notowała. Gwałtowny, samorzutny list Loli brzmiał: „Drogi, wracaj, ja niegrzeczna, często boli, całuję—Lola“.

Słowo „unartig“ — niegrzeczna skróciła sobie sposobem Rolf'a na „una“, odnosiło się to do popełnionego tegoż dnia przestępstwa, mianowicie rano wykradła się na polowanie na króliki, co jej było surowo zabronione i za co ją skarcono. Boli, odnosiło się to do częstych bólów głowy, na które się uskarżała. Tarła sobie wtedy łepki łapkami i godzinami była apatyczna i smutna.

Duża praca o Loli, p. t. „Lola, ein Beitrag zu den Kenn und Sprechen der Tiere“, wydana została z przedmową prof. Zieglera u wydawcy Ryszarda Jordana, w Stuttgartzie w 1919 roku.

Za przykładem Niemców, Francuska, pani Borderieux, bardzo czynna kierowniczką la „Revue Psychica“, zaczęła rok temu, w 1924 roku, kształcić swojego psa, Zon, systemem, przyjętym od jej niemieckich poprzedniczek.

Pewne interesujące rezultaty osiągnęła już podobno. Dalsze wyniki jej pracy mają podlegać ściślejszej kontroli paryskich profesorów

i być ogłaszane co pewien czas w teje „Revue Psychica“.

Kto się tem interesuje i chce śledzić postępy tej nauki, to znajdzie jej przebieg w owem piśmie.

Pożądanemby było, aby i nasze polskie Towarzystwa Badań Psychicznych skomunikowały się w tej dziedzinie z Towarzystwami zagranicznymi, przejęły od nich owe specjalne, a tak dobre, wyniki. dające metody kształcenia zwierząt, i aby i u nas w tym kierunku zaczęto pracować.

A zatem, dzięki najnowszym badaniom naukowym, rozum i zdolności psychiczne zwierząt zostały wkońcu uznane. Dobrzeby jednak było, aby nietylko jednostki wybrane, nietylko umysły wybitniejsze, ale i ogół ludzi, ale szary tłum narodu do świata zwierzęcego się zbliżył, tak ich potrzeby cielesne, jak i psychikę ich uznał, uszanował i z nią się liczył.

Ogromnej wagi krok na tej drodze zrobiony.

Ludzkość doby obecnej, rozumowi hołdująca, przejawy rozumu u zwierząt uznała.

Miejmy jednak nadzieję, że po długim okresie pozytywnego i ciasnego materializmu, ograniczającego swój światopogląd tylko do zjawisk, dostępnych naszym ubogim 5 u zmysłom, przyjdzie jako reakcja, jak fala żywiołowa, jakiś szczytny idealizm, że nastanie nowa era serc i ducha. A gdy nowa Jutrznia rozgorzeje, gdy duch nieśmiertelny nad światem zapanuje, gdy wiara w nieśmiertelność ludzkich dusz powszechnie się umocni — wtedy i dusza zwierząt przemówi do nas zrozumiałym językiem i stanie się nam siostrzana i bliska.

Ameryka buduje dziś pomnik psu, co mądrze, wytrwale, bohatersko doprowadził wyprawę ratowniczą do zasypanej śniegami osady, wymierającej na dyfteryt i czekającej w beznadziejnem konaniu na surowicę.

Ameryka temu psu — bohaterowi stawia dziś pomnik.

Pierwszy w świecie pomnik od ludzi — oddanej, bezinteresownej, wiernej duszy psiej.

Ameryka wydała ze swego łona pisarza tak niezwykłej miary, jak Jack London.

Jego „Zew Krwi“ — to zew do ludzkich serc.

Od łądów Ameryki, od ludzi mocnych, zdrowych, silnych idzie ten zew. Idzie na świat.

Otwórzmy mu serca i my!

Janina Maszewska-Knappe.

KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU.



ZMIERZCH LEGENDY.

Zagraniczne pisma kobiece, jak genewski „Le Mouvement Féministe“, paryska „La Française“ i londyńskie „The Catholic Citizen“ i „The Woman's Leader“, występują do walki z ogólnie rozpowszechnionem mniemaniem, jakoby obiór Hindenburga należało zawdzięczać w głównej mierze głosom kobiet niemieckich.

Wiadomość ta, kolportowana aż nazbyt skwapliwie przez antyfeministów i wytaczana przez nich jako argument przeciwko nadawaniu kobietom praw politycznych, okazuje się w świetle faktów zwyczajną fikcją. Władze niemieckie nie pozwoliły wprowadzić na opublikowanie całości materiału statystycznego, tyżącego się ostatnich wyborów; niektóre jednak okręgi wyborcze statystykę tę ogłosiły jeszcze przed wydaniem owego zakazu. Z przytoczonych tam danych cyfrowych wynika, że ilość głosów kobiecych, które padły na listę prawicową, była procentowo niższa od ilości głosów męskich. Tak np. w okręgu wyborczym miasta Kolonii 46% wszystkich wyborców — mężczyzn głosowało za Hindenburgiem, kobiet zaś 42%. To samo zresztą da się powiedzieć i o głosach, dawanych na listę stronnictw skrajnie lewicowych. W okręgu szpandawskim 11% wyborców głosowało za listą komunistyczną, wyborczyń zaś zaledwie 5%. Kobiety głosami swemi podtrzymywały przedewszystkiem stronnictwa centrowe.

Opublikowanie tych danych cyfrowych oddaje rzetelną przysługę obozowi kobiecemu, kładąc koniec legendzie o „histerycznych wielbielkach militaryzmu“.

„CREDO“ PANI FERGUSON.

Pani Miriam Ferguson, gubernatorka stanu Texas w Ameryce, o której zwycięskiej walce z Ku-Klux-Klanem pisaliśmy już na tem miejscu, ogłosiła w jednym z pism nowojorskich swoje „Credo“ życiowe p. t. „Czemu zawdzięczać swoje powodzenie?“

Najpewniejszą drogą do osiągnięcia swych zamierzeń — pisze dzielna ta niewiasta — jest silna wiara w to, że się je doprowadzi do skut-

ku. Ci, którzy znają moje życie, wiedzą, że nie brakło w niem trudności i przeszkód, nieraz — zdawałoby się — nieprzewidywanych. Nigdy jednak, nawet w chwilach najtrudniejszych mego życia, nie pozwoliłam sobie upaść na duchu i zejść z raz obranej drogi.

Aby osiągnąć swój cel, staram się zawsze zachować równowagę ducha i mocne nerwy. Iluż to ludzi, zarówno mężczyzn, jak kobiet (nie sądzicie bowiem, że nerwy są wyłącznym przywilejem płci niewieściej!) nie doszło nigdy do zrealizowania swych zamiarów dlatego tylko, że byli zbyt nerwowi, zbyt łatwo poddający się wrażeniom i nastrojom! Staram się nigdy nie ulegać tym wpływom i aby zachować zupełny spokój, oddalam od siebie wszelkie zbyteczne troski, wszelkie t. z. v. „złe przeczucia.“ Ludziom, którzy „przez życzliwość“ pragnęliby się ze mną podzielić swemi pesymistycznymi obawami o moją przyszłość czy też powodzenie takiej lub innej sprawy, dla zdobycia której wyteżam wszystkie moje siły, zabraniam poprostu mówić mi o tem. Jeśli obawy ich okażą się słusznymi w przyszłości — będzie wtedy jeszcze dość czasu na zmartwienie. Gdybym chciała martwić się przedtem — nie doszłabym z pewnością do niczego!

Jeszcze jedna rzecz, bardzo ważna: nie być małostkową, nie przypisywać zbytnej wagi drobnostkom. To rozprasza energję i nie pozwala nam wyteżyć jej w jednym, najważniejszym, kierunku. A jest to wada, niestety, dość częsta u kobiet, które samo wychowanie skłania w kierunku drobiazgowości. Trzeba z tem walczyć koniecznie!

Dla osób nieśmiałych, niepewnych siebie, bojaźliwych, które byle przeszkoda zatrzymuje, a byle przeciwność przeraża — znam tylko jedną wskazówkę: walczyć! Jeśli boisz się czego lub kogo, stawaj z nim otwarcie do walki, i to odrazu, bez namysłu! Skoro tylko zaczniesz się namyślać, ogarnie cię trwoga i jesteś już wtedy zgubiony. Najwięksi tchórze biją się, podobno, na froncie najlepiej, gdy tylko nieprzyjaciel zaskoczy ich niespodzianie. Jeśli jednak dać im czas do namysłu — uciekną sromotnie z pola walki.

Staraj się nigdy nie myśleć o niebezpieczeństwie ani o przeszkodach. Walcz zawsze, nie dbając o wynik walki. Mierz prosto w swego przeciwnika i nie zwracaj uwagi na okoliczności poboczne. Oddalaj od siebie wszelkie drobne troski i zmartwienie, a wielkim się nie poddawaj. Jeśli wypełnisz wszystko, zwyciężysz napewno!

OFIARA PRAKTYK SPIRYTYSTYCZNYCH.

Dzienniki włoskie komentują bardzo żywo pewien sensacyjny i tajemniczy wypadek, który wydarzył się niedawno w kołach arystokracji włoskiej. Jest nim śmierć księżnej Marji Orsini, zmarłej wśród okoliczności wysoce zagadkowych.

Księżna Orsini, młoda i niezwykle piękna, straciła przed kilku laty ukochanego męża i odtąd wpadła w pewnego rodzaju melancholję. Usunęła się od świata i zamknęła w swej willi w San Miniato pod Florencją, wiodła żywot prawie pustelniczy. Nie mogąc przeboleć straty męża, młoda wdowa zaczęła szukać pociechy w praktykach spirytystycznych, łudząc się, iż będzie mogła tem sposobem obcować z „duchem“ zmarłego.

Na kilka miesięcy przed tajemniczym zgonem księżnej Orsini przybył do jej willi jakiś cudzoziemiec. Był to człowiek już starszy o dziwnym, przenikliwym spojrzeniu stalowo-szarych oczu, o twarzy wychudłej, ascetycznej, tak przejrzyście bladej, że zdawała się ona wyrzeźbioną z kości słoniowej. Nieznajomy — sądząc z opowiadań służby — miał grać rolę medjum. Słyszano niejednokrotnie, jak obiecywał nieszczęśliwej księżnej, iż za jego pośrednictwem będzie mogła wywołać ducha zmarłego męża.

Z chwilą przybycia nieznanego księżna zmieniła się do niepoznania. Unikała i dawniej już towarzysza ludzi, teraz jednak zaczęła się zamykać w swoim pokoju, nie wychodząc z niego całymi dniami i nie wpuszczając do siebie nikogo. Jedyne ów nieznanomy miał prawo odwiedzać ją i spędzali nieraz razem długie godziny. W ostatnich dniach przed śmiercią księżna odmawiała nawet przyjęcia posiłku. Wreszcie, gdy przez kilka dni zrzędu, zamknięta w swym pokoju, nie dała znaku życia, służba, zaniepokojona, odważyła się, wbrew jej zakazowi, przedostać się do jej komnat. Drzwi pokoju sypialnego księżnej były zamknięte na klucz, a po wyważeniu ich przedstawił się oczom przerażonych domowników następujący widok:

Księżna, ubrana w białą szatę dziwnego kształtu, leżała bez życia na posadzce, nawprost dużego portretu zmarłego księcia Orsini. Na podłodze zakreślone było „koło magiczne“ z wpisaniem w nie krzyżem, po czterech rogach ustawione były urny z brązu, przyozdobione emblematami mistycznego kwaternera: głową lwa, byka, orła i człowieka. Pokój przepchnięty był bardzo silną wonią jakiegoś kadzidła, którego resztki

dopalały się na wysokim trójnogu, ustawionym pośrodku magicznego koła. Obok zmarłej leżały inne jeszcze przedmioty magiczne, jak laska, szpada i t. d. Portret księcia przybrany był kwiatami; stał przed nim mały stolczyk, na którym zastawiona była wieczerza na dwie osoby.

Wezwany lekarz stwierdził śmierć wskutek aneurizmu serca. Żadnych innych przyczyn, które mogłyby spowodować zgon, nie dało się ustalić. Ciekawem natomiast jest, że tej samej nocy, której, wedle orzeczeń lekarza, śmierć nastąpiła, znikł jednocześnie z willi Orsinich ów tajemniczy nieznajomy, którego nazwiska nikt nie znał i na ślad którego policja, pomimo najstaranniejszych poszukiwań, dotąd jeszcze nie natrafiła.

Przy poszukiwaniu rzeczy zmarłej odnaleziono jej dziennik, w którym jednakże nie znaleziono nic, co by mogło wyjaśnić przyczynę zagadkowej śmierci. Notatki, pisane stylem urywanym, chaotycznym, jakby gorączkowym, zawierają niejednokrotnie wzmianki o nieznanym, którego księżna stale nazywa „Il Signore delle Ombre“ (Panem Cieniów). Ze słów pamiętnika bije gorąca wiara w tego człowieka, który potrafił opanować jej wole i uczynić ją posłuszną wykonawczynią swych rozkazów. Trudno dociec, czy grał on rolę zręcznego mistyfikatora i oszusta, czy też był to mistyk i obłąkaniec, działający w dobrej wierze. Poddawał on swą ofiarę surowym umartwieniom, postom, całonocnym rozmyśleniom i innym tego rodzaju praktykom okultystycznym, które miały ją rzekomo przygotować do obcowania z duchem zmarłego.

Być może, iż w pamiętniku księżnej znajdują się jakieś szczegóły, mogące wskazać drogę do wyjaśnienia tej zagadkowej sprawy,



rodzina jednak sprzeciwiła się stanowczo opublikowaniu tego dziennika i tylko mała część zawartych w nim wiadomości zdołała, dzięki niedyskrecji reporterów, przedostać się na łamy prasy.

OŚWIADCZYNY U CHIŃCZYKÓW.

Chińczycy, jako naród konserwatywny, posiadają do dziś dnia, pomimo swej pozornej cywilizacji europejskiej, całą moc zabobonów i obyczajów, związanych z każdym momentem życia. Jednym z takich obyczajów jest ogólnie przyjęty sposób deklarowania wybrance swego serca swych uczuć miłosnych.

W tym celu młodzieniec, pragnący się oświadczyć pannie, posyła jej dar symboliczny: cztery szpilki, związane na krzyż jedwabną nitką.

Jeśli uczucie jego jest odwzajemnionem, panna zwraca mu owe szpilki nietknięte. Jeśli jednak nitka, przewijająca szpilki, jest zerwana, oznacza to, że małżeństwo nie dojdzie do skutku.

Początek temu obyczajowi dała stara legenda chińska, która głosi, iż każdy człowiek w chwili urodzenia zostaje związany niewidzialną nicią z osobą, która mu jest przeznaczona na dożgonną towarzyszkę życia. Mało jednak jest ludzi, którzy tę nić umieją zachować nietkniętą i odnajdują przeznaczoną sobie istotę. Większość, błakając się po ścieżkach życia, zrywa wątlą nić i nigdy już potem nie natrafia na ślad tej, „w której dłoniach spoczywa szczęście.“ I dlatego tak mało jest na świecie dobranych i szczęśliwych małżeństw!

MĘŻCZYŹNI ŻĄDAJĄ RÓWNOUPRAWNIENIA.

Dowiadujemy się z pism amerykańskich, że jeden z posłów do kongresu w Waszyngtonie, Jacobstein, wniósł pod obrady parlamentarne wnioski... o udzielenie mężczyznom równych praw z kobietami. Chodzi mianowicie o pewną poprawkę do ustawy migracyjnej, zezwalającej wszystkim obywatelom St. Zjednoczonych na sprowadzenie swych żon bez względu na ich przynależność państwową. Mąż Amerykanki natomiast nie ma prawa wjazdu do St. Zjednoczonych i musi się starać o osobne pozwolenie władz, które obecnie, wobec surowych ograniczeń migracyjnych, bardzo trudno jest uzyskać. Poseł Jacobstein żądał „w imię sprawiedliwości“, aby mężczyźni mogli korzystać przynajmniej z tych samych praw, co i kobiety!

KORESPONDENCJA Z ORAWY

Nim przystąpię do opisanego obecnego życia społecznego na Orawie, skreślę w paru słowach jej dzieje.

Oto Orawa, będąc ziemią rdzennie polską i zamieszkałą przez Polaków, znajdowała się przez długie lata i aż do wybuchu wojny pod panowaniem węgierskim. Węgrzy usilnie i planowo, nie licząc się ze środkami, madziaryzowali i słowaczyli ludność miejscową, dążąc do zupełnego stłumienia w niej polskości. Bardzo prawdopodobnym jest, że wobec słabego uświadczenia Orawiaków, akcja ta byłaby się Węgom powiodła, gdyby nie nieliczna garstka inteligencji polskiej, która energicznie i ofiarnie starała się przeciwdziałać wpływowi obcym i budzić ducha narodowego w miejscowej ludności.

To też w latach, poprzedzających wojnę, jak również w czasie wojny, Orawiacy zaczęli sobie coraz bardziej uświadczać swe polskie pochodzenie. Gdy w roku 1918 rząd austriacki upadł, Orawę okupowali Czesi, a następnie koalicja postanowiła, że o losach Orawy rozstrzygnie plebiscyt. W tym to okresie grupa inteligencji polskiej z dr. Janem Bednarskim i ks. Ferdynandem Machay'em na czele, rozpoczęła energiczną agitację na rzecz Polski, nie bacząc na prześladowania i szykany, na jakie ją to narażało ze strony Czechów.

Z kobiet, które położyły wielkie zasługi w tym okresie, należy przedewszystkiem wymienić panią Machay-Mikową, która jako młoda wówczas panienska była czterokrotnie przez Czechów więziona i musiała znosić wszelkie szykany (za swą pracę dla Polski została w roku 1923 odznaczona krzyżem Polonia Restituta), oraz pannę Jadwigę Zembatównę. Niestrudzona agitacja tej garstki inteligencji obudziła do tego stopnia ducha polskiego w miejscowej ludności, że gdyby plebiscyt doszedł do skutku, to niewątpliwie jest, że cała Orawa, a przynajmniej jej większość, przypadłaby Polsce. Lecz, niestety, stało się inaczej. Korzystając z chwilowego osłabienia Polski, spowodowanego inwazją bolszewicką w roku 1920, Czesi wymogli na koalicji podział Orawy na pod-

stawie wyroku Rady [Najwyższej koalicji, przyczem Polsce przyznano tylko 12 gmin z kilkunastotysięczną ludnością, gdy ogromna większość terytorjum Orawy, zamieszkała przez ludność rdzennie polską, przypadła Czechom.

Tak się przedstawiają skreślone w krótkości dzieje Orawy.

Obecnie należąca do Polski część Orawy składa się z 12 gmin wiejskich, zamieszkałych przeważnie przez ludność wiejską, zajmującą się rolnictwem, i przez nielicznych przedstawicieli inteligencji, przeważnie księży i nauczycieli szkół powszechnych. Największą gminą, będącą pewnego rodzaju centrum wobec odbywających się tu co drugi tydzień, ożywionych jarmarków i znajdujących się tu nielicznych urzędów, jest Jabłonka.

Życie społeczne jest tu dość ożywione. Mamy tu Polski Czerwony Krzyż, zajmujący się przedewszystkiem opieką nad niemowlęciem i dzieckiem szkolnym. W zimie 1924/25 roku z funduszy P. C. K. dożywiano kilkadziesiąt najuboższych dzieci szkolnych. Prawie trzysta ubogich dzieci szkolnych otrzymało ciepłą odzież i obuwie. Paruset niemowlętom i dzieciom szkolnym udzielono bezpłatnych porad lekarskich, przyczem najuboższe korzystały z bezpłatnych lekarstw. Zakupiono też sporo przyrządów sportowych dla kółek sportowych miejscowej młodzieży i założono boisko przy jednej ze szkół. Pozatem pod firmą P. C. K. została otwarta wypożyczalnia książek, która, poza literaturą propagandową i popularną, zaopatruje się z własnych funduszy w beletrystykę, z której korzysta licznie miejscowa inteligencja, gdyż jest to jedyna tego rodzaju czytelnia na Orawie.

Do Zarządu P. C. K. na Orawie należą, poza przewodniczącym dr. Danielskim, panie: Machay-Mikowa jako wiceprzewodnicząca i Danielska jako sekretarka.

Na Orawie istnieje kilka kół Towarzystwa Szkoły Ludowej. Staraniem pani Machay-Mikowej rozpoczęto w Lipnicy Wielkiej z ramienia tego Towarzystwa bu-

dowę Domu Ludowego. Podobny Dom Ludowy rozpoczęto też w Jablonce staraniem miejscowego zarządu.

Na Orawie czynna jest Państwowa Szkoła Zawodowa, posiadająca swe oddziały w Lipnicy Wielkiej i Podwilku. Oddział w Lipnicy Wielkiej, pod energicznym kierownictwem pani Anny Jodłowskiej, zajmuje się krawieczyzną i taktwem i zatrudnia kilkadziesiąt dziewcząt, zapewniając im na przyszłość popłatny fach. Oddział w Podwilku, pod kierownictwem pani Julji Malinowskiej, zajmuje się trykotarstwem. Wspomniane Oddziały Szkoły Zawodowej udzieliły w b. r. bezinteresownej pomocy P. C. K. w wykonaniu ciepłej odzieży dla ubogiej dziatwy szkolnej.

Pozatem istnieje na Orawie Koło Towarzystwa Obrony Kresów Południowych, którego zadaniem jest uświadcianie narodowe kresowej ludności i dbanie o jej interesy.

Zatem zjeżdża się na Orawę sporo letników, którzy korzystają w pełni z pięknej okolicy, zdrowego klimatu i wiejskiej swobody. Najbardziej uczęszczanymi są wsie: Orawka, Podszkle, Lipnica Wielka i Zubrzyca Górna. Wobec względnej taniości mieszkań (w wiejskich domach) i produktów, miejscowości te bardzo się nadają dla rodzin mniej zamożnych, potrzebujących odpoczynku w zdrowym, górskim klimacie, a zmuszonych do liczenia się ze środkami.

Ludność orawska odznacza się uczciwością, chociaż poziom kulturalny jej jest dość niski. Zajmuje się przeważnie rolnictwem i hodowlą bydła, które ze względu na surowy klimat i niezbyt dobrą glebę, nie zawsze się opłacają. Pozatem zajmują się tu trochę taktwem i innymi rzemiosłami, lecz zawsze traktują je jako fach pomocniczy poza rolnictwem.

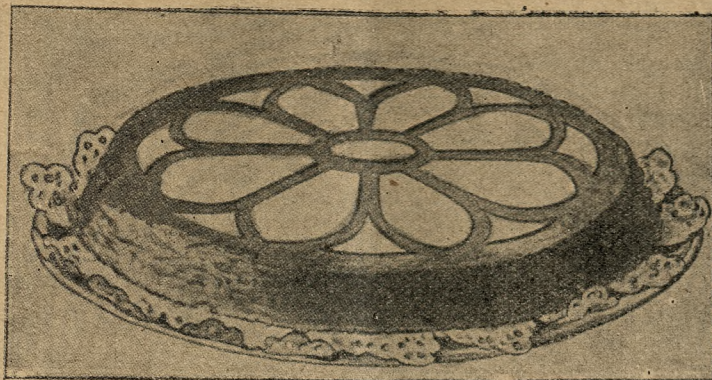
Gwarą ludność miejscowa nie różni się prawie wcale od górali zakopiańskich, poza nieznacznie naleciałościami węgierskimi i słowackimi.

O tym pięknym zakątku Rzeczypospolitej stolica nie powinna zapominać. Z D.

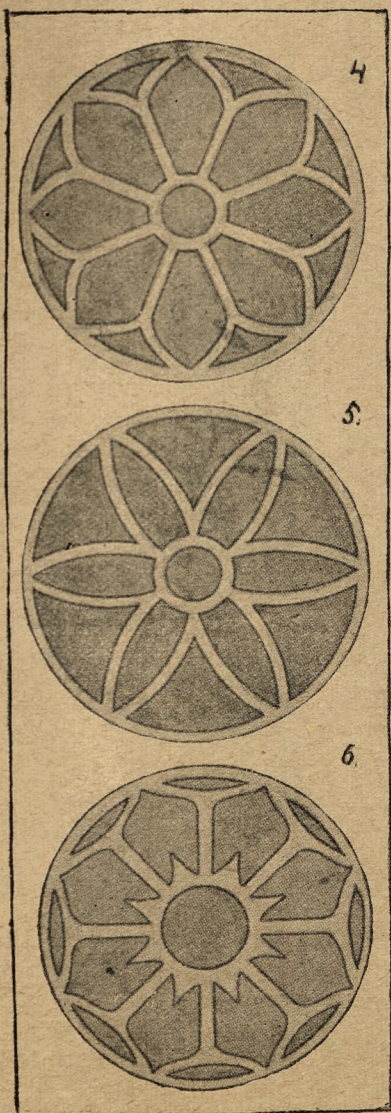
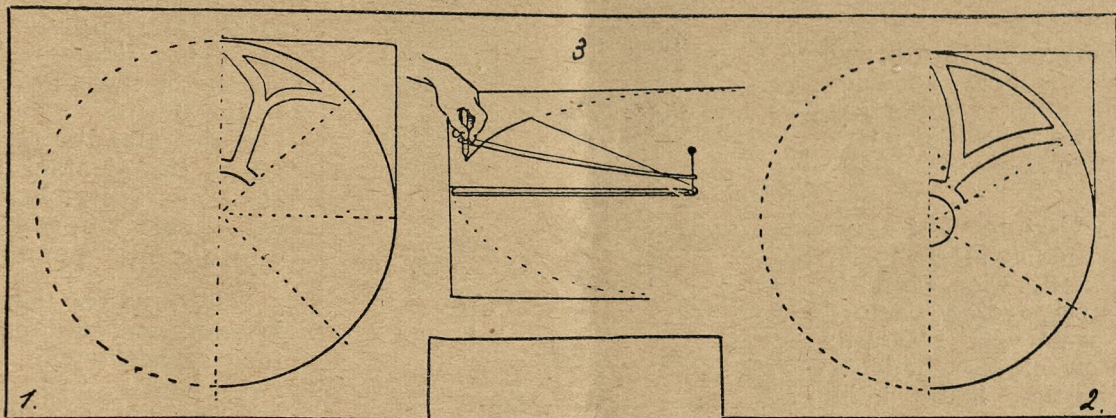


JAK UBIERAC TORTY?

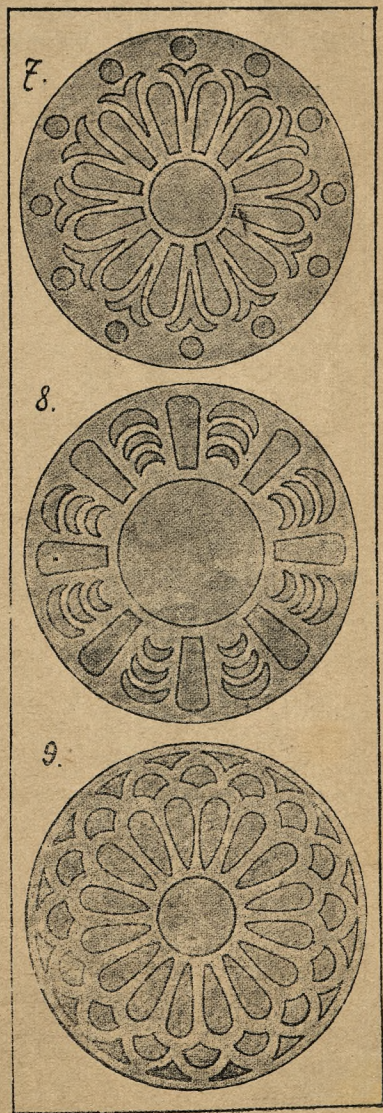
Najlepsza nawet gospodyni po upieczeniu tortu często jest w kłopotcie, jak go ubrać, nie każda bowiem ma oko i gust artystyczny. Na taki kłopot łatwo zaradzić, robiąc z pergaminowego, lub, w braku takiego, ze zwykłego białego, sztywnego papieru szablon. Podług wiel-



Dla otrzymania ślicznego a nieszkodliwego bladezielonego koloru, w lukrze z białka kręconego z cukrem, trzeba na noc namoczyć kilka ziarenek surowej kawy. Kółko w środku nakłada się konfiturami, a brzegi i deseń smaruje pomadkowym lukrem lub maślanym kremem.



kości dna tortownicy wykrawa się koło, które składa się równo na pół. Następnie, stosownie do obranego wzoru, jeszcze na trzy lub cztery części. Na rysunkach 1 i 2 kropkami oznaczone są linje załamania. Jeżeli chce się rysować koła lub inne figury, trzeba rozłożyć papier na deseczce, w środek włożyć grubą szpilkę, do której umocowana jest podwójna nitka z przywiązany na końcu ołówkiem. Tym ołówkiem jak cyrkiem rysujemy koła i różne figury na papierze (rys. 3). Narysowane figury wycina się ostremi nożyczkami; jeżeli są drobne—lepiej pojedynczo, aby nie zatracić rysunku. Rys. 4, 5 i 6 przedstawiają skromne przybrania tortu, 7, 8 i 9 bardziej skomplikowane. Rys. 10 przedstawia tort skończony. Chcąc mieć tort, przybrany lukrem w dwóch kolorach, smaruje się powierzchnię całą białym. Po zupełnym zaschnięciu przykładają się szablony i z reszty lukru, zafarbowanego wedle życzenia cukierniczą farbą, robi się deseń.



ŻAŁOBA

Panie, noszące żałobę, możnaby podzielić na dwie grupy: dla jednych żałoba jest tylko wyrazem ciężkiego bólu po stracie ukochanej istoty, dla drugich jest nowym, jeszcze jednym z wielu, sposobem kokieteryjnej odmiany toaletowej. Przy czarnych wualach i krepach—sukienka bez rękawków, wycięta głęboko, nie sięgająca poza kolana, jasne pończochy, ukarminowane usta. Jest to istotnie rzucenie na smutek szat żałobnych operetkowego uśmiechu.

Żałoba, płynąca z serca, nie potrzebuje wskazań, jest zwykle skromna, poważna i pełna majestatu. Pomówmy jednak o tej, która, wpływając z obowiązków konwencjonalnych, nie nosi w sobie zarodków prawdziwego smutku, a jednak winna być przyzwoita i stosowna!

Najwyższym wykwintem jest przystosowanie od stóp do głów czerni, i to czerni żałobnej! A więc, żadnych świecących materji, dżetów, paciorków, haftów lśniących, biżuterji, żadnych kwiatów ni piór, jedynie wąziutka wypustka biała koło rondka od kapelusza.

Obuwie spokojne, eleganckie, ale bez zwracających uwagę ozdób



i wycinań; pończocha obowiązkowo czarna, ale nie tak cienka, aby zaledwie cień na nogę rzucała; wszystkie dodatki, jako to: woreczek, chusteczka, parasolka — eleganckie a skromne i tylko czarne!

Prześliczne są dzisiejsze połączenia krepy żałobnej z georgette'ą lub plisowanym mousseline de soie.

Nadzwyczaj elegancko i efektownie, a nie rażąco, wygląda n. p. sukienka cała z krepy, rozszerzona wstawionymi powyżej kolan plisowanymi trójkątami, które nadają jej lekkość i konieczną przy dzisiejszej modzie zwiewność. Do tego kapelusz czarny z georgette'y, a welon albo krepowy, okładany georgett'ą, albo odwrotnie.

Druga śliczna kombinacja, a przytem odpowiednia do wyjścia na ulicę—to spódniczka z plisowanego drobniutko mousseline de soie, a na to gładki, zaledwie niezbyt szerokim kłosem u dołu zakończony, „casaque“ z krepy z półdługimi rękawami, niewielkiem wycięciem, a w razie, gdyby żałoba nie była już zbyt ciężką, białym kołnierzykiem wykończony. Welon, jak każda moda, kombinowany z krepy i georgette'y, kapelusik skromny, gładki, odznaczający się jedynie sta-annem wykończeniem i tem „czemś“, co jest zwykłą, a trudną do nazwania, cechą kapeluszy, wychodzących z pierwszorzędných magazynów.

Żałoba— o znaczy: ubranie jak i zachowanie w okresie jej trwania, winny w pierwszym rzędzie nosić na sobie cechy godności i powagi.

W czasie żałoby nie urząda się licznych i głośnych przyjęć, nie bywa w lokalach publicznych, restauracjach, w których gra muzyka, a strojny i gwarny tłum nadaje im cechę świątecznego wesela, na wyścigach, corsach, konkursach hippicznych, rautach i galowych przyjęciach.

Nie znaczy to bynajmniej, aby osoba, ciężko dotknięta stratą kogoś bliskiego i drogiego, musiała odosobnić się na czas trwania żałoby i odmówić sobie wielkiej pociechy, ukojenia, jakie czerpie się z obcowania z sympatycznymi i życzliwymi nam ludźmi. Musi jednak unikać spotykania się z nimi na terenie, nie licującym z jej strojem, który, będąc uważany za wyraz żalu i powagi, jako taki razi w otoczeniu nieodpowiedniem.

Gdyby nawet usposobienie osoby, noszącej żałobę, należało do tych szczęśliwych, które wylamują się łatwo z pod ciężaru smutku, łez i tęsknoty, a żywotność i umiejętność nie patrzenia wstecz skłaniały ją do chęci rozerwania się



w świetle i gwarze zgromadzeń, musi liczyć się z uświęconym zwyczajem, który nawet dzisiaj, w epoce ogólnego wyłamania się, żąda dla siebie szacunku. Lepiej zatem zdjąć wcześniej żałobę, niż, nosząc krepę rok i sześć tygodni, profanować jej powagę bagatelizowaniem nakazów, które zwyczaj zmienia w przykazanie.

W pierwszych tygodniach po zdjęciu krepy i czerni, o ile nastąpi to w okresie słonecznego lata, nosi się zwykle kolory: biały, lila i popielaty, unikając wyraźnych i krzykliwych, a przechodząc w ten sposób niepostrzeżenie od neutralnych do weselszych i żywszych. Mówiąc tak wiele o żałobie, nasuwa mi się konieczność przypomnienia o umiejętnym i stosownym ubraniu się na pogrzeb.

Zawsze, gdyby to nawet był pogrzeb kogoś obcego, należy unikać zwracającego uwagę jaskrawego i zbyt strojnego ubrania.



Całość musi być utrzymana w spokojnym i poważnym tonie. Jeżeli to pogrzeb osoby nam bliskiej powinno wactwem czy serdecznością i zażyłymi stosunkami, jakie łączyły nas czy to z nieboszczykiem, czy z jego rodziną, trzeba zmanifestować wzięcie udziału w żałobie strojem czarnym, a nade wszystko zachowaniem, pełnym powagi i godności, które wyklucza zbyt ożywioną rozmowę tak w drodze za trumną, jak i na cmentarzu.

Dla dokończenia tej żałobnej karty, pragnąc nie powracać do niej więcej, wspomnieć muszę jeszcze i o obowiązkowych kondolencjach, które, zależnie od stosunków, jakie łączą nas z rodziną zmarłych i od ich miejsca zamieszkania, winny być złożone osobiście lub piśmieniem w określonym zgóry terminie, o czym zresztą, jak i o obowiązującej formie była swojego czasu mowa w „Bluszczu”.
W. D.

TANIEC WŚRÓD MIECZÓW

Szał zabaw podczas Wielkiej Rewolucji. Matka Goethego i najświeższe żurnale. Napoleon i etykieta „Bal Ofiar” w Hôtel Richelieu. Poza na przeczulenie. Kult gestu. Berlin siedliskiem złych manier i upośledzenia kobiety.

Zdawałoby się napozór, że czas Wielkiej Rewolucji, Teroru i wojen napoleońskich takim brzemieniem troski, niepokoju i zamętu zaciążyły na psychice ludzkiej, że radość życia i żądza zabawy na długo musiały wyrzec się prawa do głosu. Wręcz przeciwnie! nigdy może nie bawiono się w tak szalonym tempie i z takim nakładem energii, jak wówczas, gdy każdy dzień mógł przynieść kres motylom istnieniom. Szał zabawy góruje nad obawą śmierci. Jest to zrozumiały wyraz instynktu samozachowawczego. W wirze i gwarze człowiek pragnął w sobie zabić toczącego go robaka świadomości. Rezultat był ten, że bawiono się całą duszą nawet tam, gdzie powinna była panować pewna wstrzemięźliwość w uciesach, gdzie samo poczucie godności narodowej tego wymagało.

Albrecht Adam opowiada nam, że w 1809 r. wiedeńskie damy były wprost zachwycone galanterją francuzów; bawiono się w jaknajlepszej harmonji. Podczas bombardowania Wrocławia mieszkańcy wprawdzie kryli się po piwnicach, ale nie

przestawali wzajemnie zapraszać się na kawki i herbaty. Zmienione nieco warunki bezpieczeństwa i otoczenie bynajmniej nie osłabiły życia towarzyskiego. Aby się wzajemnie rozerwać, zakładano się, czy pocisk wybuchnie w piwnicy, czy na dworze.

Najzaciętsi wrogowie godzili się, gdy chodziło o wspólną zabawę. Fryderyk von Raumer w 1806 r. urządził w Königs-Wusterhausen bale dla załogi francuskiej, na które gospodarze miejscowi dostarczali jedzenie, podczas gdy francuzi stawiali napoje i płacili za muzykę. W r. 1809 w Fallersleben oficerowie francuscy wydali bal dla miejscowych obywateli, który ich kosztował 150 talarów, to znaczy pochłonął całkowicie ich zołd. Czego się jednak nie robiło dla miłej zabawy!

Matka Goethego pisze do swego syna o popłochu we Frankfurcie; nikt nie jest pewny swego losu; bogatsi ludzie spakowali wszystko na wozy, gotowe do wyjazdu. Wszyscy upadają pod ciężarem kwaterunków wojskowych, gdyż prusacy zabierali

z sobą na wojnę rodziny i służbę. Ona sama gotowa jest sprzedać swój ukochany dom, aby pozbyć się tej plagi. Potem idą nowinki teatralne i ploteczki towarzyskie; okazuje się z nich, że zacna matrona najwięcej troszczy się o to, czy dostanie najświeższe żurnale z Wejmaru.

Ludzie uciekają w popłochu z miasta do miasta, zakopują kosztowności albo odsyłają zaufanym przyjaciołom; tak n. p. Goethe jest ze wszystkich stron nagabywany przez znajomych o przechowanie klejnotów.

Lilla von Kügelgen pisze: „Wszystko chwieje się pod naszymi stopami, a zabawy następują po sobie, jakby nigdy nic”. W 1807 r. we Frankfurcie musiano dwukrotnie podwyższyć cenę biletów na bal maskowy, aby uniknąć zbyt dużego natłoku.

Wśród wyższych sfer towarzyskich panuje powszechne przekonanie, że rewolucja obniżyła poziom manier, taktu i wykwintu salonowego. Parwenjusze są przedmiotem ciągłych drwin, przyczem nie oszczędza się i głów korono-

wanych. Nawet Napoleon był wrażliwy na gryzące sarkazmy Gillraya. Złośliwi twierdzą, że szorstki sposób traktowania kobiet przez Napoleona był tylko fortelem, służącym do pokrycia nieznamomości salonowych manjer. Znanym jest fakt, że ten wielki wódz i bożyszczę tylu ludów brał lekcje wymowy i gestu od słynnego aktora Talmy, a troska jego o etykietę szła tak daleko, że przed jego koronacją cały dwór musiał odbić jeneralną próbę w katedrze Notre Dame. Jest rzeczą ciekawą, że ten zwycięzca świata kapitulował jedynie przed etykietą. Zmusił Europę całą do posłuszeństwa, narzucił jej nowe prawa, ale dla swego dworu szukał wzorów u Merowingów i Karolingów i wesele jego z Marią Ludwiką musiało się odbyć według ceremoniału Marji Antoniny. Damy dworu, jak pisze pani de Rémusat, musiały brać lekcje u Despréaux, tancmistrza zgilotynowanej monarchini. „Uczył nas, jak mamy chodzić i kłaniać się. Manjery i ruchy, tą drogą nabyte, wyróżniały nas w najwykwintniejszym towarzystwie“.

Te fakty dowodzą niezbicie, że zbiorowość, jeśli chodzi o pewne tradycje, jest zawsze potężniejsza od pojedynczego człowieka. Narzuca mu ona pewne powszechnie uznane formy, krępując go w nich jak w kleszczach.

Po wypadkach Thermidoru należało w Paryżu do dobrego tonu nosić żałobę po zamordowanych krewnych i mieć wygląd osoby, która długo przesiedziała w więzieniu. Na wysoce arystokratyczny „Bal Ofiar“ w Hôtel Richelieu zaproszeni byli tylko ci, którzy stracili rodziców lub rodzeństwo pod gilotyną; śmierć wuja lub ciotki nie była wystarczającą kwalifikacją. Głono sobie głowy przy skórze jak przed stracaniem; kłaniało się sobie w sposób, który miał imitować spadanie ściętej głowy do kosza, a panie wąską czerwoną wstążeczką



zaznaczały na szyi miejsce, które rządy powinno było przejść ostrze gilotyny. Z tego płochego wydwarzania własnej niedoli przerzucano się łatwo na drugi kraniec: przesadnej czułości.

Na jednym z wydawanych u siebie przyjęć pani Tallien chciała uprosić pewną damę o śpiew. Nie zrobiła tego jednak w zwykły sposób; padła przed nią na kolana, uniosła w górę piękne ramiona, błagając splecionymi dłońmi o wyświadczenie jej tej łaski i tak, nie odrywając oczu od ust śpiewaczki, przetrwała w tej malowniczej pozie przez cały ciąg trwania popisu, wywołując ogólny zachwyt i—co za tem idzie—liczne naśladowstwa. Poza stała się niemal obowiązkiem i jedną z cech dobrego wychowania. Damy przyjmowały gości, spoczywając na greckich łożach, malowniczo upozowane i udrapowane.



Omdlenia, spazmy, ataki nerwowe, tak wówczas modne, nie były niczem innym, jak tylko poszukiwaniem nowego interesującego efektu. Kiedy panna Kirchgesner daje koncert na harmonice, „tony tego instrumentu, wstrząsającego nerwy“, przyprowadzają słuchaczy o spazmy; kiedy pani Chevalier śpiewa w „Sinobrodym“, wszystkie damy mdleją; „Nienawiść ludzi i skrucha“ Kotzebuego wyciska zarówno w Londynie jak w Paryżu całe potoki łez.

Wyższe sfery francuskie zatraciły swój styl; ich wschodni sąsiedzi jeszcze go sobie nie wyrobili.

Melesina French, Angielka, bawiąc w roku 1800 w Berlinie, wyniosła z niego jaknajgorsze wrażenie pod względem towarzyskim. Berlin wydał się jej prowincjonalnym miasteczkiem o dużym garnizonie. Manjery stały tam również nisko, jak obyczaje. Kobiety były usunięte na ostatni plan, upośledzone pod każdym względem; nie okazywano im nawet zewnętrznych zdawkowych uprzejmości. Wspomniana wyżej Angielka wybacza im to wspaniałomyślnie, uważając brak galanterji u mężczyzn za skutek złego wychowania, ale nie może wybaczyć kobietom fatalnego gustu w ubieraniu się i tańcach. Wiemy, że tradycje pod tym względem przetrwały po dziś dzień.

W 1806 r. Achim von Arnim pisze o reducie, na której królowa Luiza wystąpiła jako Titania, że dwór się nudził, publiczność zachowywała się ordynarnie albo tępo, a po latach Gabriela von Bülow stwierdzi raz jeszcze, że w Berlinie nie można znaleźć prawdziwych towarzyskich przyjemności, gdyż ludzie są zbyt ocieźiali i zupełnie nieprzywykli do form salonowych.

Miał słuszną pan de Bonnay, francuski poseł w Berlinie, kiedy swemu attaché, panu de Cussy daje taką wskazówkę: „Spotka pan w Berlinie wielu dzielnych ludzi,

ale ani jednego człowieka z taktem". Mowa tu, rzecz prosta, o takcie towarzyskim, którego brak sownie wynagradzała przewrotność i spryt, ukryte pod płaszczem niedźwiedziowatych pozorów.

Spero.

Z DZIEDZINY KOSMETYKI

COŚNIECÓŚ O MODNEJ SYLWETCE

Obecnie, gdy się określa piękną i modną kobietę, w grę wchodzi nie tyle piękno twarzy, co cała sylwetka. A nigdy może linja całej postaci nie była tak ujednostajniona, jak dziś. Króluje bowiem kobieta o postaci szczupłej, wiotkiej. Do takiej figury jest zastosowany każdy model sukni. Dlatego też nosić musimy bieliznę w jednym kawałku, t. zw. combineson, gdyż dwukawałkowa bielizna przecina w pasie linję sukni i strój traci cały swój efekt.

Przytem nosić trzeba specjalne gumowe pasy, wkładane pod bieliznę. O szkodliwości tych pasów chcę napisać parę uwag. Naogół wszystkie pasy brzuszne są nie higieniczne, o ile nie podtrzymują, a uciskają wnętrzości, nosić je można jedynie na parę godzin do stroju jako paljatywę. Wszelkie zaś reklamowane głośno i szumnie pasy gumowe Y, X, Hella i t. p. działają fatalnie, gdyż uciskają wątrobę, śledzionę, naczynia i nerwy, mogą być powodem poważnych uszkodzeń.

Osoby nerwowe, zwłaszcza cierpiące na nerwicę przewodu pokarmowego, nie znoszą ucisku w okolicy jamy brzusznej; noszenie pasa gumowego zaostrza stan chorobowy, powoduje częstsze i coraz silniejsze ataki.

Pozatem pasy z nieprzepuszczalnej gumy izolują zupełnie skórę od powietrza, wstrzymują jej oddech i wydzielanie, przez co skóra wiotczeje i odparza się, tworzą się wypryski, dokuczliwie swędzące.

Daje się to zauważyć wśród pacjentek coraz częściej, nie tylko te przykre miejscowe objawy, lecz i stan zapalny, obejmujący całą skórę. Wyprysk taki, nieodpowiednio leczony, może przejść w stan chroniczny i dać bardzo poważne i przykre powikłania.

Jedynie pasy z gumowej jedwabnej plecionki są dopuszczalne z warunkiem korzystania z każdej chwili wolnej, umożliwiającej ich zdjęcie.

A co ma czynić nieszczęsna kobieta, gdy postać jest nieco za

okrągła, kształty zbyt obfite, powiedzmy normalne?

Przedewszystkiem nie martwić się, bo nie zawsze kobieta, modnie wyglądająca, również dobrze wygląda bez ubrania... nie chcę zdradzać tajemnic lekarskich...

To nam tłumaczy, dlaczego francuzki tak niechętnie się rozbierają, a nawet na plaży są rzetelnie ubrane w kostjomy, dobrze obmyślane, a płaszcze pod szyję zapięte.

Wreszcie moda ma swoje Fantazje. Przypomnijmy sobie czasy historyczne wypychania biustów i tiurniur.

Miejmy nadzieję, że kobiety normalne staną się kiedyś znów modne.

Podobno, paryżanki łykają już śmietankę masami, tuczając się forsownie. Jeżeli zaś kobiety chcą być, pomimo to, modnymi, to są jeszcze inne odpowiednie środki, które pozwolą im, jeżeli nie zupełnie osiągnąć, to zbliżyć się do dzisiejszego ideału chociażby w zakresie sylwetki.

Zaznaczyć tu muszę jeszcze inne czynniki, wpływające na nadmierne tycie kobiet. Wszelkie choroby jajników wpływają również na przemianę wadliwą materji, na odkładanie się tłuszczu w nadmiernej ilości, najczęściej na biodrach i w jamie brzusznej, co powoduje fatalny wygląd.

Obecnie pojawiły się nowe teorie, naukowo jeszcze dostatecznie nie sprawdzone, lecz jako nader ciekawe, paniom podaję.

Jednym z ważnych czynników nadmiernego tycia jest nienormalne życie płciowe. Każda kobieta, fizycznie zdrowa, potrzebuje stosunku seksualnego jako jednego z funkcji życiowych. Brak zupełny lub jego niedostateczność wpływa na organizm ujemnie. Niedostateczność wyraża się wtedy, kiedy kobieta nie odczuwa zadowolenia, a więc, jakgdyby nie odczuwa potrzeby. Istota rzeczy leży w tem, że kiedy mężczyźni wystarcza czasem nawet sam akt bez podkładu uczucia, organizacji kobiety to nie wystarcza. Kobieta stoi stanowczo wyżej uczuciowo od mężczyzny i musi w stosunek swój do mężczyzny włożyć pewną ilość sentymentu, inaczej, o ile nie jest skończoną histeryczką, narzucającą się mężczyznom per fas et nefas, sam akt nie tylko ją nie zadowolni, a raczej rozdrażni i szkodę przyniesie. Powodem niezadowolenia życia płciowego jest albo późne obudzenie się kobiety, albo nierówne temperamenty, albo wogóle niedobór osobników. Iluż to tragedji, nieporozumień małżeńskich i roz-

wodów jest wynikiem tego niedoboru życia płciowego!

W takich to razach nienormalne życie płciowe odbić się musi na gruczołach o wewnętrznym wydzielaniu (jajnikach) — kobieta nagle tyć poczyna lub nagle straszliwie chudnąć.

Wiele kobiet przyznaje się z pewnego rodzaju triumfem, uważając poprostu brak przyjemności w życiu płciowym za dobry smak i dobry ton, chociaż nawet mężów swoich bardzo kochają. Zdaje mi się, że to było przyjęte u naszych prababek i uchodziło za dobrą manierę i sposób kokieteryji (taka zimna ryba) wtedy, gdy mężczyźni byli bardziej zepsuci. Obecnie zaś, gdyby te kobiety wiedziały, ile krzywdy sobie robią we własnym życiu, ile to powodów dają do zdrad małżeńskich i rozwodów, nie lekcewałyby tej „drobnostki“ i zawczasu udawałyby się do lekarzy specjalistów po gruntowne i poważne leczenie.

To lekceważone tło życia seksualnego prowadzi bardzo często kobiety na manowce w poszukiwaniu instynktowem zadowolenia. Jednak trzeba mieć na uwadze, że daleko mniejsza szkoda będzie z niezaspokojonego głodu płciowego, niż zachorowanie na chorobę weneryczną, o co w dzisiejszych czasach tak straszliwie łatwo.

Cóż ma robić w takich razach samotna kobieta?

Odpowiednie wychowanie, staranny dobór lektury, sporty i oderwanie umysłu od swych dolegliwości, a skierowanie go do zrozumienia i ukochania wyższych celów pomoże i będzie godne dzisiejszej kobiety.

W ten sposób ujęte życie da możliwość mężczyźnie, jak i kobiecie nie ulegać popędowi jedynie fizycznej natury, a pomoże wytworzyć normalne stosunki, gdzieby było brane w rachubę tylko uczucie czyste, wielkie i piękne!

Wtedy to przekształci się pod względem etycznym i zdrowotnym nasze całe młode pokolenie.

Wracając do środków na schudnięcie, dbać musimy przedewszystkiem o schudnięcie ogólne, albowiem niemożliwe jest schudnięcie tylko pewnych członków.

Obecnie namnożyło się mnóstwo ogromnie reklamowanych środków, na wewnątrz i na zewnątrz stosowanych. Do środków na wewnątrz należą pigułki rozmaitego rodzaju, krople i sok. Są to w zystko środki w większości wypadków szkodliwe i działające na przewód pokarmowy w sposób przeczystczający, powodując zapalenie i katarę kiszki, częstokroć poważne zatrucia.

(c. d. n.)

Dr. J. Świtalska.

OGRODY STROJNE

Najkapryśniejsza z władczyń — królowa moda — narzuca swym poddanym arbitralne pojęcie o pięknie we wszystkich dziedzinach, na których ręka ludzka swe piętno wycisnąć może. Lecz poza jej zasięgiem jest jeszcze piękno trwałe, piękno odwieczne i nie ulegające wahaniom zmiennych upodobań ludzkich — piękno natury.

Ileż uroku zawiera w sobie prastary las, pełen drzew wiekowych, obrośniętych wzorzystą makatą mchów drobniutkich, obwieszonych brodami siwych, kosmatych porostów! Ile piękna tkwi w puszystym kobiercu łąk szmaragdowych, przetykanych barwną ciźbą różnorodnych kwiatów! Ile wdzięku roztacza smuga błękitnych niezabudek wzdłuż brzegu iskrzącego się w słońcu strumienia!

Nie dziw, że wpatrzony w piękno dzikiej natury, usiłuje człowiek podchwytować najwybitniejsze jego przejawy i przenosić je do swego najbliższego otoczenia. Więc zbiera wzory z łąk, skrajów lasu, z zarośli nad brzegami ruczajów i z bezładnych gromad drzew, których nasiona wiatr -szaławiła wśród niesamowitych harców kiedyś pogubił. Z tych wzorów skleja potem ogrody strojne, czasem pełne naturalnego, sielskiego uroku, czasem bogaciej w sztukę wyposażone, a zawsze piękne, jeśli tylko ten, kto je urządzał, umiał czytać w tajemnic pełnej, wielkiej a przedziwnej księdze przyrody i jeśli Stwórca łaskawy tchnął w jego duszę iskry artysty! Bowiem bez tej iskry bożej człowiek nie zdoła wytworzyć nic pięknego, ani w dziedzinie ogrodnictwa, ani w żadnej innej, z sztuką związaną.

Może dlatego wśród dziesiątków tysięcy istniejących czy dawno przebrzmiałych ogrodów, tak mało posiadamy arcydzieł, godnych upamiętnienia, że nie przykładano wagi do tego, kto je zakładał. A jednak są wyjątki, które przeszły do historii. Babilońskie wiszące Semiramidy — ogrody zostały zaliczone do cudów świata.

Na 400 lat przed naszą erą słynęły w Małej Azji „rajskie“ ogrody Cyrusa młodszego. Poeci opiewali ogrody Alhambry, w których skwarne powietrze chłodziły liczne wodotryski, kaskady i ruczaje. Z czasów rzymskich przetrwała sława ogrodów cesarza Hadziana w Latium nad Tybrem, mierzących pono siedem mil w obwodzie, ogrodów Nerona, Galby, Lukullusa. A gdy na gruzach Rzymu powstało wspaniałe państwo włoskie — na gruzach tamtych ogrodów wyrosły po dziś

dzień podziwiane parki willi d'Este, willi Aldobrandini, Barbarini, Tamfilii... A k ó ż nie sły szał o założonych przez Le Nôtre'a (1613—1700) ogrodach w Wersalu, w Veaux, Chautilly, Meudon Sceaux Tranon, o Greenwich i St. James parku? A w Polsce — zali nie są sławne ogrody w Wilanowie, w Zofjówce, w Puławach, w Arkadi, w Antolinach, w Łańcucie, w Medyce?..

W dzisiejszych czasach mało jest magnatów, którzy mogliby ponosić wielkie nakłady na tworzenie rozległych kosztownych parków. Z demokratyzacją życia całego idzie w parze demokratyzacja ogrodów, demokratyzacja warunków bytu i całego otoczenia. Ale, dzięki temu, posiadanie ogrodu strojnego, dostępne dawniej tylko dla jednostek wybranych, staje się udziałem szerokiego ogółu, tych wszystkich, którzy posiadają choć skrawek własnej ziemi, a którym nie jest obce umiłowanie piękna przyrody.

Ale nie we wszystkich dziedzinach życia codziennego w równym stopniu odczuwamy potrzebę piękna. Gorliwie się o nie staramy w ubiorze, starannie dobieramy, nawet w skromnym mieszkaniu, meble i obrazy; wznosząc dom, dwór czy pałac, dojrzałe zastanawiamy się nad wyborem budowniczego i w długich z nim naradach dokładamy usiłowań, żeby nie tylko rozkład wewnętrzny praktycznie urządzić, lecz i lice gmachu pięknie przyozdobić.

Jakże często jednak zapominamy, że najpiękniejsza twarz, zwałana, w fali skołtunionych włosów, na tle zaniedbanego lub zgoła w łachmanach zwisającego ubioru — straci swój urok; że natomiast poślednia nawet uroda królewskiego może nabrać majestatu, gdy jej odpowiednią damy oprawę!

Tak jest i z siedzibą. Zali wyda się pięknie dom, choćby strojny w marmury, gdy w chaszczach gęstych utonie, gdy go pokrzywy otoczą, a wśród zwartych ścian zieleni zaniedbamy odpowiednie wyciąć przestrzały? Albo gdy w kryształowych zwierciadłach ścian, miast gładkiej runi trawników, pociętych umiejętnie zarysowanemi wstęgami dróg, artystycznie dobranych skupin drzew i krzewów — będą się odbijały jeno stłoczone bzy zdziczałe, przesłaniające równie zaniedbany sad, w którym drzewa spróchniałymi pniami o miłosierdzie wołać się zdają?

Niestety, jakże często wystarcza chęci i pieniędzy na wystawienie domu wedle planów najlepszych budowniczych, a ogród projektuje i wykonywa właściciel sam lub z pomocą domowego „ogrodowego“,

który niedawno jeszcze za byłem chodził w polu, w kuchni skrobał ziemniaki lub utracił siły, leniwie wołki poganiając w pługu przeciągłem: „wiooo siwe!“

Bo u nas poczucie potrzeby piękna w otoczeniu jest rozwinięte bardzo nierównomiernie. Zapominamy, że założenie pięknego ogrodu wymaga nie tylko przygotowania naukowego, równego temu, którego trzeba do zaprojektowania pięknego gmachu, ale wymaga także owej iskry bożej, niezbędnej wszędzie tam, gdzie o twórczą chodzi pracę, gdzie polot autora poza ramy szablonu musi wybiegać i za każdym razem nowych szukać dróg. Wszak nie dość jest być malarzem, żeby projektować nowe budowle, nie dość jest być malarzem pokojowym, żeby obraz namalować, nie dość jest umieć wyhodować rzodkiewkę i sałatę, rośliny opatrzyć w szklarni lub kwiaty posadzić na rabatach — żeby planować i urządzać ogrody.

Zapominamy, że ogród — to rzecz trwała, zakładana na lat dziesiątki, a nawet setki, i dzieciom w spadku przekazywana. Że jeśli nawet nam samym owo poczucie wyższego piękna w otoczeniu jest mniej lub więcej obojętne, to następne pokolenia będą przywiązywały do niego więcej wagi, gdyż będzie ono szło w parze z rozwojem wszystkich potrzeb kulturalnych, wyższych dziś, niż przed laty kilkunastu czy kilkadziesiątu; że ogród strojny — to dalszy ciąg mieszkania, to salon, w którym gości przyjmujemy, to widoczny dla wszystkich dowód poziomu naszych potrzeb estetycznych, naszej kultury artystycznej, naszego poczucia piękna. Gdy urządzenie wewnętrzne mieszkania ocenią tylko wybrani, wpuszczeni do wnętrza domu, ogród zobaczy przechodzień i będzie z jego wyglądu sądził o właścicielu. I nie zapominajmy, że ładne ogrody nie tylko przyczyniają się do podniesienia wartości danego majątku lub siedziby, ale również szersze mają znaczenie, podnosząc ogólny poziom kultury kraju i jego piękno.

Mylne jest twierdzenie, że tylko rozległe parki muszą być umiejętnie, według planu, zakładane. Bodaj że trudniej jest urządzić mały ogródek tak, żeby stylem harmonizował z domem, żeby nie był nadmiernie pokawałkowany, jak się to najczęściej spotyka, a zarazem żeby czynił zadość wszystkim potrzebom; żeby w niem była myśl przewodnia, a nie bezładna gmatwanina ścieżek, wyginających się w wązowych splotach niewiałomo dłaczego, prowadzących niewiadomo dokąd i tworzących w minjaturze odra-

żającą parodię rozległych parków. Każdy typ ogrodu, każdy wymiar rozporządzalnej przestrzeni nasuwa inne wymagania. Do projektowania wielkich ogrodów trzeba szerokiego rozmachu, małe zaś — to jubilerska robota, podczas której doświadczona artystyczna ręka złotnika może stworzyć arcydzieło. Błędy w wielkich parkach częściowo zaciera niekiedy rozległość obszaru, natomiast w małych ogródkach, często jeszcze oglądanych z werand i okien górnych pięter, będą raziły każdym uchybieniem rysunku, każdą usterką wykonania na gruncie. Dlatego niemożliwe jest zastosowanie jakiegokolwiek szablonu, rozciąganie lub stłaczanie projektów do rozmiaru innego terenu, niż w założeniu był przewidziany. Dlatego każdy ogród strojny musi być projektowany osobno na podstawie możliwie dokładnego planu sytuacyjnego.

Drugim mylnym twierdzeniem jest, że założenie ogrodu, umiejętnie rozplanowanego, kosztuje znacznie drożej, niż urządzenie go własnym przemysłem. Czy dom, budowany bez planu, może wypaść taniej od obmyślnego? Czy poprawki i przeróbki, wynikające z braku planu, nie pochłoną więcej, niż wypadłoby zapłacić za sporządzenie zarysu dróg i rozkładu skupin drzew i krzewów? A gdyby nawet w pierwszej chwili różnica kosztów wypadła na niekorzyść postępowania prawidłowego, to czyż nie wyrówna go osiągnięte zadowolenie estetyczne, pozostające na lata całe, a rzadko dające się osiągnąć przy zakładaniu bezplanowym?

Jest to metoda zła bezwzględnie. Wszak nie ulega wątpliwości, że wykształcony ogrodnik-planista (we Francji — *jardinier*, *architecte* lub *jardinier-paysagiste*, w Niemczech — *Landschafts-gärtner* lub *Gartenarchitekt*) ma znacznie większe doświadczenie w projektowaniu ogrodów, niż właściciel terenu lub jego „ogrodowy”. A jednak pejszażyści istotni, skupieni w organizacji zawodowej: — „Kole planistów”, do którego mogą być zaliczeni jedynie po przedstawieniu swych kwalifikacji zawodowych i prac wykonanych, nie podejmują się projektowania nawet małych ogródków bez urzędniego sporządzenia planu na papierze, gdyż na gruncie nie są w stanie ogarnąć harmonii linii i ustosunkowania zarysów do całej przestrzeni. Tembardziej więc nie może temu zadaniu podołać ogrodnik, nie posiadający należytego przygotowania naukowego ani praktycznego, ani właściciel czy właścicielka przyszłego ogrodu, choćby posia-

dali wysoką kulturę artystyczną ogólną i zamiłowanie do ogrodnictwa.

Zato, mając plan całości w ręku, można wykonanie go na gruncie rozłożyć na raty i w miarę posiadanych środków, wykończyć ogród w ciągu jednego sezonu albo lat paru, a mimo to, mieć pewność, że wrażenie ostateczne odpowie zamierzeniom. Planując wprost na gruncie, trzeba odrazu zająć całą przestrzeń, bo inaczej poszczególne części nie dadzą się powiązać wcale albo wyniknie bezsensowna, przykra gmatwanina dróg i trawniczek, pokrajanych na „łazanki” lub „mazureki”, pozbawiona wszelkiej myśli przewodniej, niespokojna, drażniąca.

Takich właśnie przykładów mamy bez liku w powstających coraz liczniej osiedlach, w miastach-ogrodach, przy willach, na letniskach i w miejscowościach leczniczych. Jeśli nas samych jeszcze nie razią te brzydkie otoczenia siedzib, które na miano ogródków nie zasługują, to pomyślimy jednak, że inni oczyma patrzą na nie cudzoziemcy, tak licznie odwiedzający dziś naszą Ojczyznę. Im miłość tej ziemi nie nakłada szkieł różowych na oczy, ani argument przeżytej wiekowej niewoli nie osłania szpetoty. Oni sądzą z pozorów zewnętrznych, z tego, co widzą. A patrzą chętnie i ciekawie.

Więc, gdy dążąc słusznie za postępem, staramy się o zdrowotne mieszkania, odosobnione, pełne światła i powietrza, gdy w dążeniu do zwiększenia wytwórczości naszego kraju posiłkujemy się wszelkimi zdobyczami Zachodu — idźmyż współrzędnie naprzód i w dziedzinie ogrodów strojnych. Lepiej na mniejszym obszarze urządzić ogródek tak, by stał się źródłem zadowolenia i chluby, niż być zmuszonym do przebywania w brzydkim otoczeniu, gdy w niem po znoju pracy szukać będziemy wytchnienia.

Stan. Schönfeld.

POWRÓT Z WAKACJI

I znów te same troski. Sprzątanie, trzepanie, pranie, rozpakowywanie.

Tak niedawno męczyliśmy się, wyjeżdżając, tak narzekałyśmy na niewygody i nudy letniego pobytu, często żałując miasta, aż powróciwszy do niego, ogarnawszy wyobraźnię ten odmęt pracy, jaka nas czeka, wzdychamy: co za szkoda, że to już po lecie, o ileż jednak lepiej było na wsi! Ale nie upadajmy tak łatwo na duchu, nie zniechęcajmy się! Z zaczerpniętą wśród pól i lasów energią bierzmy się odważnie do dzieła, a przy dobrej woli i „Dobrych Radach” „Bluszczu” nie wątpię, że poddamy prędko tej pracy. Dla uniknięcia gwałtu dobrze jest, aby, jeżeli to możliwe (mówię naturalnie o osobach średniej zamożności), pani domu wróciła parę dni wcześniej, niż cała rodzina, otworzyła i wywietrzyła mieszkanie, a przy pomocy świeżo zgodzonej służącej, o którą w tej porze łatwo, posprzątała i oczyściła je z letniego kurzu. Gruntowne porządki zrobimy później, gdy już nastającymi zimnami okna opatrywać będziemy, aby, dzięki głęboko zakorzenionym przesądom, źle zbudowanym domom i ciężkim warunkom materialno-opałowym, wskutek których nie stać nas na większe zużycie węgla, dusić się przez kilka miesięcy w dymie z papierosów, na które stać zawsze naszych mężów.

Rozpakowawszy rzeczy i przywiezione zapasy, zaraz wszystko ustawić na miejscu, nic bowiem nie powiększa tak powrotowego zamętu, jak porostawiane a nie poustawiane rzeczy. Po rozgospodarowaniu się i wprowadzeniu w ruch maszyny domowej, trzeba pomyśleć, naturalnie, o „dużem praniu”, bo choć przepierałyśmy na wsi, uzbierała się spora ilość bielizny. Firanki, zdjęte, uprane i złożone przed wyjazdem, pozakładać, dywany wytrzepane rozpostrzeć, wszelkie ozdoby mieszkaniowe powymyć z ukrycia, porozwieszać i porostawiać, zimowe suknie i okrycia opatrzyć (miejmy nadzieję, że mole je nie naruszyły). Futer, naturalnie, nie zapomnieliśmy oddać do przerobienia przed wyjazdem, bo w lecie kuśnierze mają najwięcej czasu i robota najtańsza, trzeba tylko dowiedzieć się o ich losy i przyspieszyć wykończenie, bo choć to jeszcze jesień, zimna za pasem. W węgiel czas piwnicę opatrzyć, bo przed mrozami — tańszy i łatwiej o niego; kartofle i wa-

STANISŁAW SCHÖNFELD

OGRODNIK—PLANISTA

WARSZAWA

MARSZAŁKOWSKA 53, m. 6.

Tel. 136-66.

FOLWARK DŁUGIE — P. KOLUSZKI
ziemia Piotrkowska.

rzywa kupić przed przymrozkami, bo będą trwalsze.

Doprawdy, jak na jedną kobiecą główkę, dosyć do myślenia, a przecież czas największy przywitać znajomych, w pierwszej linii tych, z którymi nie zdążyliśmy się pożegnać; trzeba im to teraz wynagrodzić, odnowić stosunki rodzinne, towarzyskie, no i nareszcie zabrać się do zwykłej pracy społecznej czy też biurowej. Jakaby ona nie była, mam nadzieję, że równie łatwo przyjdzie moim czytelnikom wciągnąć się w nią z powrotem, że osiągną zadowolenie moralne i materialne, zacieśnią węzły przyjaźni, łączącej je z „Bluszczem,” i że według przysłowia: będzie wszystko najlepiej na tym najlepszym ze światów. J. S.

GRZYBY

(dokończenie)

Podobne z kształtu i smaku do borowików są podosiniaki i mochowiki. Pierwsze mają kolor oranżowy, prawie czerwony, nóżkę białą mają nakrapianą, spód u młodych grzybów biały u starszych różnych odcieni szarego, aż do bardzo ciemnego u starszych egzemplarzy. Brzegi z wierzchu szaro-zielone, pod spodem oranżowe, nóżki szaro-zielone jak wierzch grzyba. W smaku nie ustępują borowikom i mogą być smażone, duszone, suszone i marynowane jak one; mają jednak kolor czarniawy, wskutek czego mniej apetycznie wyglądają.

Babki, w niektórych miejscowościach krzakami, w innych lapszami, na Litwie nawet lapszankami zwane, są bardzo smacznym grzybem; należy jednak używać tylko młodych, twardych babek; starsze po ugotowaniu są śliskie i bez smaku; średnie można suszyć dla czeladzi na post. Można młode babki smażyć jak borowiki, dusić w śmietanie i marynować w occie. Marynowane są bardzo smaczne, mają kolor jasno popielaty, prawie biały i mogą doskonale zastąpić borowiki.

Maślaki, maślaczami lub koźlakami zwane, zjawiają się masowo po długich ciepłych deszczach. Spód mają jasno żółty, u najmłodszych pokryty cieniuchną skórką białą, nóżka jest też żółta, a czapeczka pokryta brązową lepką skórką. Smaczne grzyby, nie lubiane przez kucharki, gdyż każdy należy obrać z klejkiej, lepkiej i brudzącej palce skórki zewnętrznej. Najsmaczniejsze są smażone na rumiano w maśle, przyczem większe sztuki należy najpierw utarzać w mące. Duszone w śmietanie też

jeść można, są jednak nieco za śliskie. Suszone, po obraniu wierzchniej skórki, są bardzo dobre i dają susz mniej czarny od wyżej wymienionych trzech gatunków. Młode koźlaki, marynowane w occie, są prawie białe i bardzo smaczne, nie ustępują w smaku borowikom; roboty około ich przyrządzenia jest jednak masa, gdyż marynować można tylko najmłodsze grzybki, a ściąganie z nich skórki nie należy do najprzyjemniejszych zajęć.

Do rzędu grzybów, dających się smażyć i dusić, zaliczamy też kurki, na kresach lisiczkami zwane. Są to małe żółte grzybki, rosnące grupami; spód mają tego samego koloru, gęsto żebrowato-prążkowany. Przy obieraniu ich należy uważać, aby przez nieuwagę nie wziąć podobnych grzybków, mających spód brodawkowaty; rosną one zawsze w sąsiedztwie i są bardzo szkodliwe dla zdrowia. Kurki mają tę zaletę, że nigdy nie mają w sobie robaków. Są one jedynym grzybem, jakiego swoim wyznawcom zakon mojąszowy nie zabrania. W suchych piaszczystych miejscowościach, gdzie innych grzybów nie ma, można je używać, dusząc w śmietanie; w ogólności jednak są mniej od innych grzybów smaczne i wartościowe. Do suszenia i marynowania wcale się nie nadają.

Opieńki, rosnące dużemi kępkami na pniach brzoźowych i między niemi na świeżych porębach, są wyborym w smaku grzybem. Są zupełnie białe, nieduże, na długiej, cienkiej nóżce; kapelusz grzyba jest szaro lub brązowo nakrapiany, spód gęsto biało żebrowany. Trzeba się dobrze znać na tych grzybach, aby je móc zbierać; jest cała masa grzybów trujących do nich podobnych. Na wsi każde nieomal dziecko umie je odróżnić. Używa się tylko samego kapelusza; nóżki są twarde, więc się je odrzuca. Duszone w śmietanie, nie ustępują w smaku najlepszym borowikom, a marynowane w occie, są również smaczne jak rydze, wyglądają w marynacie ładnie i apetycznie.

Pieczarki, które kupujemy w mieście, są przeważnie sztucznie hodowane w piwnicach lub pochodzą z inspektów, gdzie nieraz stanowią prawdziwą plagę ogrodnika, mnożąc się nie posiane. Pieczarki takie, hodowane masowo w pobliżu dużych miast, są do nabycia rok cały. W Warszawie, niestety, są bardzo drogie i zawsze przerośnięte. Przerośnięta pieczarka nie traci wprawdzie ani smaku, ani aromatu, natomiast jest ciemna, brudzi kolor sosu, do którego głównie jest używana i ma brzydki kształt; w całości już nie da się użyć wcale. Dziko po łąkach i wybrzeżach la-

sów rosnące pieczarki są znacznie większe, białe lub popielate po wierzchu, na dość grubej białej nóżce. Młode mają delikatną białą skórę, pokrywającą odwrotną ich stronę, cieniuchne żeberka, wypełniające dno czaszki są naprzód białe, lekko zaróżowione, potem jasno, dalej ciemno fioletowe, na koniec, u zupełnie starych pieczarek, brunatne. Pieczarka pod względem aromatu i smaku jest najlepszym z grzybów. Duszona, smażona, solona, suszona i marynowana w occie, stanowi prawdziwy skarb dla kuchni. Każdy sos z dodatkiem proszku lub soi pieczarkowej nabiera smaku. Najmłodsze używa się na świeżo do wykwintnych sosów i garniturów i marynuje w occie do przekąski. Średnie używają się duszone i smażone na świeżo. Na suszenie idą starsze egzemplarze; z najstarszych i łupin, pozostałych przy obieraniu pieczarek, robi się soję, smaczniejszą od kupnego „Maggi”.

Gruzdy i podlipki, też chrząszczkami zwane, duże, szare lub białe, zależnie od tego, pod jakimi drzewami rosną, grzyby. Siedzą głęboko w ziemi, tak że nieraz je z pod niej wykopywać trzeba, gdyż tylko jeden skrawek jest widoczny. Do smażenia i duszenia mało zdadne, gdyż są twarde, a szare gruzdy nawet nieco gorzkawe; natomiast solone, a raczej kwaszone, jak ogórki, są wyborne. W tym celu starannie serwetką z mchu i ziemi oczyszczone gruzdy myje się zimną wodą, potem parzy gorącą i trzyma tak godzin dwanaście, poczem, osączone na sicie, składa, jak rosną, w faskę lub słój, przesypując solą i kładąc gdzieś gdzie kilka ziarn pieprzu, ziela i listka. Kto lubi, może kłaść i cebulę, pokrajaną w talarki; jest to smaczne, ale grzyby są przez to mniej trwałe.

Tak ułożone gruzdy przykrywa się drewnianem denkiem, na to kamieniem. Kiedy się uleżą, dodaje się świeżych, aż się całe naczynie zapełni. Po paru tygodniach już są gotowe do użycia; są tak trwałe, że do wiosny stać mogą; należy tylko starannie ocierać pleśń z brzegów naczynia i uważać, aby były mocno naciśnięte.

Takie chrząszcze pokrajane w cienkie paski, przyprawione dobrze oliwą i hiszpańską cebulą, są wyborną przekąską; jeszcze smaczniejsze są, jeżeli je wymieszać z gęstą, kwaśną śmietaną.

Powszechnie znane i lubiane rydze są dwóch rodzajów: jedne cieńsze, bardziej łamiące się i po zgnieceniu nabierające sinawej barwy, rosną w lasach świerkowych, drugie — grube, mięsiste, trudniej

się łamiące, po zgnieceniu zielonych nabierające odcieni, rosną w borach sosnowych. I jedne, i drugie są cenionym w kuchni przysmakami. Smażone bądź zwykle, bądź nadziewane, są smacznym garniturem do mięsnych i rybnych dań i wyborną samodzielną potrawą.

Konserwować je można, marynując w occie, soląc, marynując w oliwie, konserwując w maśle. We wszystkich tych postaciach są równie smaczne. Mało jest jednak znane to, że rydze solone, po dobrem wymoczeniu w wodzie, przysmażone z cebulką w maśle, smakują równie dobrze, jak zupełnie świeże.

Z najstarszych zdrowych rydzów robi się proszek do sosów, susząc je, tłukąc i przechowując w butelkach jak borowiki i pieczarki.

Dla amatorów grzybobrania rydze są najmiłszym grzybem; rosną zwykle na czystych, mszystych polankach i zjawiają się ku jesieni, kiedy upały nie są męczące, a muchy i komary mniej niż latem dokuczliwe.

Zupełnie do rydza zewnątrz podobne, przeraźliwie jedyak gorzkie wełnianki po zamaronowaniu umiejętnym robią się nie tylko smaczne, lecz dają wprost wyborną przekąskę. Sparza się je wrzątkiem i trzyma tak 24 godziny, poczem się zalewa odcedzone i osuszone powtórnie wrzątkiem solonym i wrzuca nieco pieprzu i listka. Dobre są do użycia dopiero po sześciu tygodniach leżenia w marynacie. W smaku przypominają nieco rydze, mają jednak nieco ostrzejszy smak. Podaje się je z oliwą, octem i cebulą lub też, jak gruz dy, ze śmietaną.

W powszechnej pogardzie będące surowadki, kilkakrotnie sparzone wodą, osączone na sicie i usmażone na rumiano ze słoniną, są, w braku innych grzybów, wcale niezłym daniem. To kilkakrotne sparzenie odbiera im zbytęcną gorycz.

Są jeszcze całe szeregi podgrzybków jadalnych, z których zielonki, na przykład, dają się dusić jak borowiki i gąski; z wierzchu szarawe, a z dołu śliczne, kanarkowo żółte, marynowane w occie, mało w smaku rydzom ustępują. Te gąski jesienią masami się zjawiają na targach warszawskich i dla pań, które latem bawiąc u wód, nie zdążyły się zaopatrzyć w konserwy grzybowe, stanowią doskonały materiał do marynat.

W tych lesistych miejscowościach, gdzie grzyby różne masowo rosną i zbierać je można w masowych ilościach, należy je solić w dużych kadziach dla bydła. Przed wielu laty mieszkałam na północy

Rosji w tak grzybnej okolicy, że w końcu lata grzyby małą ręczną kosą ścinano, solono je tam w olbrzymich kadziach i dodawano przez całą zimę do karmu krów, które, podobno, właśnie wskutek takiego karmienia, masę mleka dawały. Ze bydło chętnie grzyby jada, to widzimy na leśnych pastwiskach, przyczem krówki znają się równie dobrze, jak ludzie, na dobrych grzybach, gdyż tylko jadalne grzyby pożerają, pozostawiając wszystkie trujące, tak zwane „psie grzyby”, nietknięte.

Nie będę tu mówiła o smardach; są to grzyby wiosenne; zjawiają się w czasie takich roztopów, że największy amator brodenia po lasach zbiór ich żadnym zarobku wieśniakom chyba pozostawi.

Pani Elżbieta

PRZEPISY GOSPODARSKIE

KACZKI PIECZONE.

U nas, w Polsce, przeważnie się jada kaczki pieczone, nadziewane jabłkami, lub też je piecze bez żadnego nadzienia, podając do nich oddzielnie upieczone jabłka. Wszelka tradycja kuchenna jest niesłychanie trudną do obalenia. Kucharki nasze są niesłychanie konserwatywne. Gospodynie jednak, ze względów, praktycznych, gdyż drożyna robi masę produktów niedostępnych dla klasy pracującej, powinny zdecydować się na robienie coraz to nowych prób.

Otóż kaczka, pieczona w zwykły sposób, ma mało mięsa i może najwyżej starczyć na cztery porcje. Tymczasem, jeśli zrobimy do niej nadzienie, można nią będzie, zależnie od jej rozmiaru, obdzielić 6 do 10 osób.

Najsmaczniejszym nadzieniem będzie mięsne: na jedną kaczkę wziąć pół kilo mięsa wołowego po połowie z wieprzowem, przepuścić przez maszynkę wraz z wątróbką kaczą, jedną cebulą, dwoma jabłkami

i wewnętrznym kaczym tłuszczem. Wsypać w to łyżkę majeranku lub garstkę koperku, lub na koniec noża tartej gałki muszkatelowej) w zależności od tego, jaki zapach lubimy) wbić jedno duże lub dwa małe jaja, dodać dwie bułeczki, rozmoczone w mleku lub wodzie, osolić, wyrobić ręką na jednolitą masę, nadziać tem kaczkę, zaszyć i piec jak zwykle.

Nadzienie takie, piekąc się kaczce, tak przejdzie jej smakiem i zapachem, że się prawie od jej mięsa nie będzie różniło. Naokoło kaczkę się okłada jabłkami pieczonymi jak zwykle.

Innym dobrem nadzieniem jest makaron domowy lub kupny wermiszel, ugotowany, zmieszany z pół funtem tłustej szynki i pokrajaną w paski, przysmażoną wprawioną wątrobę kaczą i zaprawioną parą jajami. Nakoniec można kaczkę nadziać tłuczonymi kartoflami, zmieszany z tłustą krajaną szynką czy boczkami, zaprawionymi majerankiem, dwoma utartymi na tarce surowymi jabłkami, solą, pieprzem i jednym lub dwoma jajami. Piecze się kaczkę zawsze jednako pod blachą lub dusi w rondlu, podlewając własnym tłuszczem i trochę wody, aby się nie przypaliła.

KACZKI PO RUAŃSKU.

(„Canneton rouennais”).

W wielu domach hodują olbrzymie kaczki ruańskie, mało gdzie jednak umieją ją przyrządzać w taki sposób, jak w ich ojczyźnie. Smakosze uważają, że to jest najlepszy sposób, najbardziej wykwintny smak kaczki uwydatniający. Bierze się młodą tegoroczną kaczkę, zupełnie jednak wyrośniętą i dobrze utuczoną; (roczna kaczka już do tej potrawy wcale się nie nadaje, gdyż ma kości zbyt twarde). Oprawioną jak zwykle, piecze się smarując narazie masłem, potem polewając wodą i sosem, jaki z siebie wypuści. Powinna być dobrze zrumieniona, lecz jeszcze zupełnie soczysta wewnątrz. Bierze się metalowy półmisek (najlepiej srebrny lub platerowany), kraje kaczkę w taki sposób: naprzód się oddziela uda i skrzydła, potem kraje piersi cienkimi płatkami i zdejmuje kawałki mięsa z grzbietu, pozostawiając szkielet nienaruszony. Mięso się układa ładnie na półmisku i posypuje szczyptą białego pieprzu, utluczonego z jednym goździkiem. Kości się rąbie, zalewa pół szklanką gorącego wina czerwonego i wyciska w specjalnej prasie. Ponieważ u nas takie prasy są nieznanne, można je utłuc w moździerzu lub przepuścić przez maszynkę (kość

DR. MED.

J ŚWITALSKA

KRUCZA № 31, mieszkanie 3.

Telefon 102-77

Zawiadamia, że po powrocie z Paryża przyjmuje swoje pacjentki.

młodych kaczek są bardzo miękkie) i wycisnąć przez płótno. Sos ten (powinien być prawie krwisty) wylewa się na pokrajaną kaczkę, stawia półmisek na blasze, mocno ogrzewa, nie dając jednak się zagotować i podaje natychmiast bardzo gorące, stawiając półmisek na podstawie metalowej, ogrzewanej lampką spirytusową. Jest to oryginalny przepis francuski. Sposób ten, stosowany w najwykwintniejszych kuchniach, nosi jeszcze nazwę: „Canneton à la presse” — kaczka z pod prasy, lub też „Canneton au sang” — kaczka ze krwią. Zwykłych krajowych kaczek tak przyrządzać się nie opłaca, gdyż są zbyt małe i mało mięsiste.

Pani Elżbieta.

Korespondencje działu praktycznego

P. C. z Krakowa.

Nie sądzę, aby jedzenie na śniadanie zupy było zdrowe. Zupy obecnie są uważane przez lekarzy za mało pożywne i niezdrowe, szczególnie dla niektórych organizmów.

Mleko lub kakao mają dużo własności odżywczych, a i kawa, byle nie nadużywana, nie jest szkodliwa. Jeśli komuś szkodzi kawa naturalna, może pić zbożową lub robioną z żołądźci.

Plamy rdzy można usuwać za pomocą oliwy, zmieszanej w połowie z kwasem siarczanym. Naciera się tem plamy, a gdyby zejść nie chciały, trzeba użyć szmerglu.

Buljonu w mieście nie warto robić w domu, bo napewno drożej wypadnie niż kupny. Podaję jednak sposób robienia go, jeśli Pani chce spróbować.

Buljon można robić z mięsa wołowego z dodaniem jednej części cielęciny, ale najlepszy jest mieszany z drobiu i zwierzyny. Wybrać 20 do 25 kg. mięsa wołowego od przodu, cały przodek cielęcy z dodaniem 6—8 nówek, 10 kogutów, kur, kaczek kilka zajęcy lub kilka przodków sarnich i wszystko to czysto wypłókać.

Mięso porąbać w kawałki i nastawić w pobielanym kotle; zalane zimną wodą — niech się tak gotuje 4 do 5 godzin. Szumowiny zbierać bardzo starannie. Potem dołożyć cielęciny, kury i zwierzynę i gotować 2 godziny, starannie mieszając, a w końcu włożyć 2 kg. marchwi, pietruszki i ½ kg. selerów. Gotować

tak długo, aż wszystko mięso wygotuje się na drzazgi.

Wtedy precedzić rosół, mięso obrać z kości i jarzyn i zalawszy go raz jeszcze zimną wodą, gotować 2 godziny, a potem precedzić do pierwszego rosółu, ponalewać w garnki i postawić na noc w zimnym miejscu. Nazajutrz zdjąć całą tłustość, zlać ostrożnie, pozostawiając na spodzie osad i gotować dalej na wolnym ogniu, aż się wygotuje do połowy poczem zlać go w jedno naczynie, posypać blachę grubo popiołem i postawić na nim garnek, aby się buljon nie przypalił i gotować — dopóki się nie zrobi gęsty i kleisty.

Spróbować na łyżce: jeśli się buljon zetnie w zimnym miejscu, to ma dosyć.

Wtedy należy go ponalewać w małe foremki lub na głębokie talerze, a po zastygnięciu pozawijać w papier pergaminowy i przechowywać w suchym chłodnym miejscu.

P. Helena R.

Firanki markizetowe prać trzeba w rozgotowanym mydle o niezbyt wysokiej temperaturze — inaczej skurczą się. Plamy, powstałe z wydzielnin pajęczych, są trudne do wywabienia. Specjalnych środków nie ma. Trzeba kilkakrotnie i starannie spierać, zwykle puszczają w końcu.

Haft odpowiedni na markizetowe firanki będzie angielski, wykonany białą bawełną D. M. C. Nr. 25 lub też mereżki, wykonane takąż bawełną, tylko znacznie cieńszą. Modne, a dające bardzo dodatnie wyniki, jest wszywanie motywów filet, obrębiając równocześnie brzegi ozdobną mereżką.

Palmy daktylowe należy przesać delikatnie, aby nie uszkodzić korzenia, dając jej ziemię przepuszczalną i dość dużą doniczkę. W czasie lata wymagają częstego i obfitego polewania oraz skrapiania, pużo światła i powietrza; należy jednak chronić je i od ostrego słońca i przeciągu, którego nie znoszą.

Tępienie pluskiew sposobem domowym.

Na pokój o obszarze 20 metrów sześciennych 3 kg. siarki w kawałkach włożyć w naczynie blaszane, dodawszy na spód dwa lub trzy smolaki do podpałki, i umieścić je na środku pokoju; na drugiej dość dużej blasze, ustawionej na cegle lub kamieniu, aby podłogę zabezpieczyć należy przed spalaniem lub splamieniem. Wszystkie okna

i drzwi należy szczelnie zamknąć i oblepić kitem szklarskim albo paskami papieru i klajstrem, a podpaliwszy siarkę, wyjść natychmiast z pokoju i drzwi wchodowe również zakleić. Wszelkie przedmioty metalowe i lustra wynieść z pokoju. Po 12 godz. można pokój otworzyć, wyczyścić i wietrzyć przez dwie doby.

Karaluchy tępi się, wysypując kąty, framugi i pod ścianami proszkiem „Tanatol”. Unikać trzeba przechowywania w kuchni resztek, obierzyn i śmieci. Czystość wzorowa przeszkadza mnożeniu się robactwa.

Nieznośnej.

Surowy jedwab należy prać w rozgotowanym barskiem mydle, letniej temperatury.

Opis sukien i robót do Nr. 36

681. Suknia z żakietem. Suknia z popeliny jasno popielatej. Żakiet z rysu dużo ciemniejszego w tym samym tonie.

682. Kostjum angielski z granatowego sukna lub gabardyny.

683. Palto z angielskiego szarego materiału w prażki.

684. Paltocik dla dziewczynki z granatowej wełny, guziki rogowe

685. Angielskie palto z ciemno brązowej wełny.

686. Suknia na ulicę z sukna ciemno lila.

687. Palto z grubego rypsu koloru rudego, przybrane fantazyjnymi guzikami.

688. Paltocik dla chłopczyka od lat 5 do 7 z angielskiego szarego materiału

689. Sukienka z piaskowej wełny dla dziewczynki od lat 7 do 9. Bok haftowany na białym suknie.

690. Palto z ciemno zielonego sukna, guziki rogowe.

691. Kostjum dla młodej pani z granatowej gabardyny. Naszyte ze sznurka.

692. Suknia na ulicę dla młodej pani z sukna brązowego. Plisy i kołnierze piaskowe.

693. Palto z jasno popielatej wełny z odcinaną falbaną, zapięte na duże ozdobne guziki.

694. Paltocik dla dziewczynki od lat 5 do 8 z piaskowego sukienka, naszyty taśmą jedwabną.

695. 696. 697. 698. 699. Motywy na suknie lub kapeluszu. Haft kolorowy.

700. Narożnik serwetki. Haft richelieu
701. 702. 703. Medaljony ażurowe Haft richelieu.

Nadesłane do Redakcji

MĘŻCZYŹNI winni się wystrzegać zmywania głowy zimną wodą. Racjonalne pielęgnowanie polega tylko na myciu głowy ciepłą wodą i Doktora Lustra Shampooem-Miraculum.